

HONORÉ DE BALZAC

KOBIETA

TRZYDZIESTOLETNIA

Honoré de Balzac

Kobieta trzydziestoletnia

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843410

Kobieta trzydziestoletnia:

Аннотация

Trzydziestoletnia Julia jest rozgoryczona. Jako młoda dziewczyna wyszła za mąż za swojego kuzyna, Wiktora, w poczuciu, że to wielka miłość. Okazało się jednak, że było to zauroczenie, a małżeństwo z Wiktoorem jest wybitnie nieudane. Julia jest strasznie rozgoryczona – uprawia „legalną prostytutkę”, ale romanse nie dają jej satysfakcji. Nie potrafi także ostatecznie odejść od męża. Oczekuje już tylko na śmierć. Zdaniem tłumacza, Tadeusza Boya-Żeleńskiego, powieść jest swego rodzaju rewolucją – ukazuje nieudane małżeństwo, a nie iluzję pozostawianą za słowami „i żyli długo i szczęśliwie”. Kobieta trzydziestoletnia należy do cyklu Komedii Ludzkiej autorstwa Honoriusza Balzaka. Na serię składa się ponad 130 utworów, połączonych przez wielu powtarzających się bohaterów. Autor ukazuje człowieka niemalże jako przedmiot swoich badań obserwowany w różnych środowiskach. Ważnymi tematami Komedii Ludzkiej są finanse, obyczaje oraz miłość.

Содержание

Od tłumacza	4
I. Pierwsze błędy	11
Конец ознакомительного фрагмента.	62

Honoré de Balzac

Kobieta trzydziestoletnia

Od tłumacza

Wśród wszystkich utworów Balzaca, ten tytuł, *Kobieta trzydziestoletnia*, najbardziej może zrósł się z jego nazwiskiem: dla iluż osób stojących dalej od literatury, **Balzac** – to był autor *Kobiety trzydziestoletniej*. Jest to na pozór wypadek dość osobliwy: ani powieść ta nie jest najdoskonalszym utworem Balzaca, ani opowiadania, które się na nią składają, nie nosiły pierwotnie tego tytułu. Opowiadania te powstały między rokiem 1832 a 1835, mimo iż, skupiwszy je w całość, Balzac datuje ją latami 1828–1842. To przesunięcie chronologii wynika zapewne stąd: w pierwotnej redakcji były to oddzielne epizody; bohaterka ich¹ nie była nawet jedną i tą samą osobą! Później dopiero

¹ *były to oddzielne epizody; bohaterka ich (...)* – Sam Balzac pisze o tym w przedmowie z r. 1834 tak: „Wiele osób pytało, czy bohaterka... nie jest pod różnymi nazwiskami jedną i tą samą osobą. Autor nie umiał odpowiedzieć na te pytania. Ale może myśl jego wyrazi się w tytule, który łączy te rozmaite sceny. Osoba, która przebywa niejako sześć obrazów... to nie jest postać; to jest myśl. Im bardziej ta myśl przywdziewa rozmaite stroje, tym lepiej oddaje intencje autora. Ambicją jego jest zrodzić w duszy mglistą zadumę, w której kobiety zdołałyby odnaleźć pewne wrażenia, wspomnienia, wyczytać z niej pewne nauki... Kobiety wypełnią zapewne te luki; być zaś jednako zrozumianym przez wszystkich, to niepodobieństwo...”. Mimo to później Balzac dał bohaterce sześciu epizodów jedno nazwisko. [przypis tłumacza]

Balzac, widząc w nich jedność wewnętrzną, stopił je (o tyle o ile) w jedną całość, uczynił z nich życie jednej kobiety na przestrzeni paru dziesiątków lat. Stopienie to nie jest zresztą zupełne; czytelnik z łatwością zauważy, iż zarówno chronologia, jak i charakterystyka osób (np. generała d'Aiglemont), ich wzajemny do siebie stosunek, nie mają cech jednolitości. Zapewne, gdy rzecz rozgrywa się na tak znacznej przestrzeni lat, i charaktery, i stosunki mogą się zmienić; bądź co bądź, dla należytego zrozumienia tej książki nie od rzeczy jest znać jej genezę.

Mimo tych ułomności, nie dziwny się, że tytuł *Kobieta trzydziestoletnia* przyłgnał tak do nazwiska autora. Jest on w całym jego dziele najbardziej poniekąd „programowy”. Streszcza jedno z tych jego **odkryć**, o których można powiedzieć, że doniosłość ich z literatury rozciągnęła się na samo życie.

Pierwszą niemal książką, którą Balzac wszedł w literaturę, była *Fizjologia małżeństwa*. Też znamienny tytuł. Kto przed Balzakiem zajmował się małżeństwem? – Nikt. Miłością owszem; a i to miłością romansową; ale małżeństwem nie. W tych dwóch słowach tytułu tkwił już cały Balzac: każde z nich było zarazem małą rewolucją. *Fizjologia*, ten naukowy termin w odniesieniu do rzeczy, której pojęcie leżało poza obrębem nauki; to brutalne słowo w stosunku do spraw wprzód rozważanych jedynie z punktu „harmonii dusz”... Od **fizjologii** małżeństwa zaczyna się też w tej powieści jego psychologia.

Tak samo i tytuł *Kobieta trzydziestoletnia* jest małą rewolucją. Przed Balzakiem kobieta w ogóle nie ma wieku. Kochanka

jest z obowiązku młoda i piękna; nikt jakoś nie zauważył, że w życiu plecie się różnie. Niejeden może jak Balzac pić pierwsze słodocze miłości z ust kobiety wyżej lat czterdziestu, ale w literaturze transponowało się to na szesnastoletnią dziewicę lub raczej w ogóle nie było przyjęte określanie wieku. Przez parę stuleci abstrakcyjnej literatury nie zauważono, że wiek ludzki odbył tymczasem ewolucję. Królowa Nawarry, autorka *Heptatmeronu*, mawiała, że „po trzydziestce kobieta powinna zmienić przydomek **piękna** na **dobra**”... Okropność!

Przyczyny tej ewolucji (poza rozwojem kosmetyki i higieny) są rozmaite. Przede wszystkim trzeba powiedzieć, że literatura żyje w znacznej mierze konwencją, konwencja zaś ta szła z Włoch i z Hiszpanii, owych kolebek literatury pięknej, gdzie, jak wiadomo, kobieta wcześniej dojrzewa i wcześniej przekwita, i gdzie w miłości dominuje przede wszystkim jej prosty zmysłowy wyraz. W życie natomiast wkradł się inny czynnik, niezmiernie z pewnością szlachetny i ważny, mianowicie przesunięcie w znacznej mierze wartości miłosnych ze sfery fizycznej na duchową, na intelektualną. Czyż tym, czym była dla Balzaca pani de Berny, kochanką, przyjaciółką, powiernicą, pomocnicą jego prac, mogła być szesnastoletnia lub nawet dwudziestoletnia dziewczyna? „Jedynie ostatnia miłość kobiety może nasycić pierwszą miłość mężczyzny”, te słowa, którymi Balzac, zapewne przez wspomnienie swojej pierwszej miłości, kończy historię o *Księżnej de Langeais*, były wówczas rewolucyjnie śmiałe.

Balzac obala obowiązującą poetykę, która na ołtarzu stawia

dziewiczą młodość i która przebierała realności życia w poetyckie transpozycje. Jak wszędzie, tak i tutaj, Balzac widzi (dar niezmiernie rzadki!) życie bezpośrednio, a nie przez pryzmat konwenansu literatury. Szczerłość jego, bezwzględna, brutalna, która z tej *Komedii ludzkiej* czyni, obok *Wyznań* Russa, najodważniejszą może spowiedź, i tu otwiera oczy na rzeczywistość. Naraz zjawia się pisarz, który tę fatalną przed nim i tak głupio poniżoną „trzydziestkę” (a Balzac przeciąga ją delikatnie dość daleko) stroi we wszystkie uroki; który w lekko zmęczonych rysach kobiety widzi całe bogactwo serca i myśli, i zmysłów, o ileż ponętniejsze od banalnych i bezosobistych powabów młodości. Z jakimż zachwytem kobiety ówczesne musiały czytać tę nową ewangelię, o tym nie możemy mieć nawet pojęcia dziś, gdy przesąd wieku dawno jest przewyciężony, gdy kobieta trzydziestoletnia jest... niemal dzieckiem i gdy w ogóle spojrzenie Balzaca na te sprawy weszło w krew pokoleń.

Balzac zrywa z dawną heroiną romansów, która była zawsze „młoda i piękna”. Miłość u niego nie jest abstrakcją, ale jest żywą siłą; i to siłą nie działającą w próżni, ale w realnych warunkach społecznych; współgrająca z całym splotem sił. Jest wypadkową instynktu, ambicji, próżności, interesu, intelektu. Rzetelne odmierzenie tych sił sprawia, że prawdziwą heroiną romansu okazuje się nie osiemnastoletnia dziewczyna, jak chciał konwenans powieściowy, ale trzydziestoletnia mężatka i taką też na długo zostaje heroina pobalzakowskiej powieści.

Ale nie tylko pod tym względem powieść ta jest rewelacją.

Zważmy sam jej początek: zadzierzgnięcie romansu Julii i Wiktora. Cóż widzimy? Młodą dziewczynę i napoleońskiego junaka, coś niby Mickiewiczowską Zosię i Tadeusza, tę idealną parę wyciętą jak z winiety. Jak odnosiła się do takiej pary powieść? Z chwilą, gdy młodzi się pobiorą, był koniec powieści; któż troszczył się o to, jak popłynie pożycie Zosi z Tadeuszem albo Anieli z Gustawem ze *Ślubów Panieńskich*? Otóż Balzac zauważył rzecz tak prostą jak jajko Kolumba: mianowicie, że tam, gdzie powieść się zazwyczaj kończy, tam życie się dopiero zaczyna; zwłaszcza dla kobiety. Ogarnął swą koncepcją **wieloplanowość** życia, różność człowieka zależnie od warunków, w jakich się znajdzie, i od żądań, jakie mu życie stawia. Ten, kto byłby bohaterem w bitwie, może być szubrawcem jak Filip Bridau albo durniem jak Wiktor d'Aiglemont. Dalej jeszcze jedno odkrycie. Kiedy pobrało się dwoje młodych ludzi, pięknych, bogatych, coż może stać na przeszkodzie ich szczęściu? Chyba jakieś wielkie katastrofy. Otóż Balzac poddaje analizie życie codzienne, potoczne, to, którym powieść nie raczyła się zajmować. Ukazuje, jakie dramaty może stworzyć samo życie, prostym faktem gry swoich sił. Ukazuje, jak ciężką próbą jest małżeństwo samo w sobie, nawet przy najbardziej sprzyjających zewnętrznym warunkach. Pierwszy raz może spowiada kobiety – jak owa stara ciotka – z ich najtajniejszych, najwstydliwiej ukrywanych niedoli i zawodów. Wprowadza, on pierwszy, moment życia **fizycznego**, które wprzód, o ile bywało brane w rachubę, to jedynie w

najbanalniejszym problemie „młodej żony przy starym mężu” i służyło raczej za temat do konceptów. Słowem, on pierwszy odsłania całą zawilość, całą dramatyczność powszedniego życia.

Zarazem ta powieść jest dokumentem **feminizmu** Balzaca. Zanim George Sand zacznie walczyć o wolność kobiety, tutaj, u Balzaca, pada już to ciężkie, brutalne słowo: „małżeństwo takie, jak dziś istnieje, jest legalną prostytutką”. Namiętna tyrada, którą wyrzuca z siebie w rozmowie z proboszczem wiejskim hrabina Julia, jakimż echem musiała się rozlegać w sercach kobiet całej Europy! Balzac był jednym z pierwszych szermierzy walczących o tę przyszłość kobiety, która dopiero w naszych oczach staje się rzeczywistością.

Balzakowskie jest to ogarnianie życia na szerokiej przestrzeni i to wiązanie odległych na pozór jego zjawisk. Odsłania nam kompleks walk, zawodów, zawiedzionych marzeń, dramatów, które później dla publiczności streszczały się w jednym słowie: „Pani X. ma kochanka”.

Dziś życie kobiety jest sferą, w której stosunki od czasów Balzaca przeobraziły się może najistotniej. Ale może gdzieś, „w jakim cichym dworze”, daleko od połączeń kolejowych lub na zapadłej prowincji tłucze i dziś jeszcze głową o ścianę swojej klatki jakaś „kobieta trzydziestoletnia”. Dla niej ta książka będzie żywym słowem. Dla innych kobiet, jakże cudownie wolnych w porównaniu z życiem ich babek, będzie wzruszającym dokumentem doli kobiecej.

I ta powieść, jak niedawno wydana po polsku *Historia*

trzynastu, nosi obok balzakovskiego realizmu piętno epoki, z której powstała. To owa domieszka romantyzmu. Korsarz! Życie wolne, życie buntu, swobody, przeciwstawione dusznemu gmachowi społecznemu i tu znajduje swój wyraz pełen uroczych dzieciństw. Kontrasty te, które mogłyby przyprawić o wzruszenie ramion przygodnego czytelnika *Kobiety trzydziestoletniej*, dodadzą książce tej wdzięku w oczach tych, którzy – mam nadzieję – nauczyli się czytać, rozumieć i podziwiać Balzaca.

Warszawa, w czerwcu 1926.

I. Pierwsze błędy

Było to w początku kwietnia roku 1813, w niedzielę. Ranek wróżył jeden z owych pięknych dni, w których paryżanie pierwszy raz w roku widzą bruk bez błota i niebo bez chmur. Przed południem wykwintny kabriolet zaprzężony w parę rączych koników skręcił w ulicę Rivoli z ulicy Castiglione i zatrzymał się za kilkoma pojazdami u tarasy des Feuillants. Lekki ten pojazd prowadził człowiek o wyglądzie stroskanym i chorowitym. Siwiejące włosy, niedostatecznie okrywające żółtą czaszkę, postarzały go przedwcześnie. Rzucił lejce konnemu lokajowi jadącemu z tyłu, aby pomóc wysiąść młodej dziewczynie, której subtelna uroda ściągnęła uwagę przechodniów.

Mała osóbką, znalazłszy się na stopniu, pozwoliła się ująć w pół i okoliła ramionami szyję swego opiekuna, który ją postawił na chodniku, nie zmiąwszy falbanek zielonej rypsowej sukienki. Kochanek nie byłby tak uważny. Nieznajomy musiał być ojcem tej dziewczynki, która nie dziękując, ujęła go poufale pod ramię i pociągnęła do ogrodu. Stary ojciec zauważył zachwycone spojrzenia paru młodych ludzi; smutek na jego twarzy pierzchnął na chwilę. Mimo iż od dawna doszedł wieku, w którym mężczyznom trzeba się zadowolić zwodnymi uciechami próżności, uśmiechnął się.

– Biorą cię za moją żonę – szepnął do młodej osóbką, prostując

się i krocząc powoli, ku jej rozpaczy.

Widocznie dumny był z córki i bardziej może od niej cieszył się spojrzzeniami, jakimi ciekawi obejmowali jej brązowe; prunelowe ciżemki, rozkoszną kibić pod lekką sukienką oraz świeżą szyjkę wychylającą się z haftowanego kołnierzyka. Żywszy ruch podnosił niekiedy suknię dziewczyny i pozwalał oglądać ponad ciżemkami zgrabną nóżkę w gładkiej ażurowej pończosze. Toteż niejeden przechodzień wyprzedził tę parę, aby ujrzeć raz jeszcze młodą twarzyczkę, dokoła której igrały ciemne pukle. Białość jej i rumieniec podnosił jeszcze odbłask różowego atłasu, którym podbity był wykwintny kapturek; a niemniej pragnienie i niecierpliwość iskrzące się w rysach ładnej osóбки. Niewinny spryt błyszczał w czarnych oczach, wyciętych w migdał, strojnych ładnym łukiem brwi, długimi rzęsami, oczach wilgotnych i lśniących. Życie i młodość roztaczały swoje skarby na tej figlarnej twarzyczce i na biuście² powabnym, mimo paska umieszczonego ówczesną modą pod samymi piersiami.

Nieczuła na hołdy, dziewczyna patrzyła z wyraźnym niepokojem na pałac Tuillerii, będący widocznie celem jej niecierpliwej przechadzki. Było trzy kwadranse na dwunastą³. Mimo że godzina była wczesna, wiele kobiet, wyraźnie postrojonych, wracało z pałacu, odwracając głowę z dąsem, jakby nierade, że się spóźniły na upragnione widowisko.

² *biust* (daw.) – tu ogólnie: górna część tułowia; popiersie. [przypis edytorski]

³ *trzy kwadranse na dwunastą* (daw.) – za kwadrans dwunasta; jedenasta czterdzieści pięć. [przypis edytorski]

Kilka słów niezadowolenia, jakie piękna nieznajoma pochwyciła na ustach strojnych kobiet, zaniepokoiło ją widocznie. Starzec śledził okiem bardziej ciekawym niż drwiącym oznaki niecierpliwości i lęku malujące się na uroczej twarzy towarzyszki; a przyglądał się jej zbyt bacznie, aby pod tym spojrzeniem nie kryła się jakaś myśl ojcowska.

Była to trzynasta niedziela roku 1813. Za dwa dni Napoleon miał ruszyć na ową nieszczęsną kampanię, w której miał stracić kolejno Bessieres'a i Duroca, wygrać pamiętne bitwy pod Lützen i Bautzen, patrzeć na zdradę Austrii, Saksonii, Bawarii i Bernadotte'a i stoczyć straszliwy bój pod Lipskiem. Wspaniała parada zarządzona przez cesarza miała być ostatnią z parad, które tak długo budziły podziw paryżan i cudzoziemców. Stara gwardia gotowała się po raz ostatni wykonać uczone obroty, których dokładność zdumiewała niekiedy samego olbrzyma gotującego się do pojedynku z Europą. Smutne uczucie przywiodło do Tuillerii świetną i ciekawą publiczność. Każdy niejako odgadywał przyszłość i przeczuwał może, iż nieraz wyobraźnia będzie musiała odtworzyć sobie obraz tej sceny, kiedy ta heroiczna epoka Francji nabędzie, jak dziś, odcienia niemal bajki.

– Prędeż, prędeż, ojczy – przymilała się panienka, ciągnąc za sobą starca. – Słyszę bębny.

– To wojsko wchodzi do Tuillerii – odparł ojciec.

– Albo defiluje, wszyscy wracają! – odparła z dziecinną goryczą, która sprawiła, że starzec się uśmiechnął.

– Parada zaczyna się dopiero o wpół do pierwszej – rzekł ojciec, ledwie mogąc nadażyć porywczej dziewczynie.

Idąc, machała prawą ręką, jak gdyby sobie pomagała w biegu. Mała jej rączka w obcisłej rękawiczce gniotła niecierpliwie chusteczkę, podobna wiosłu prującym fale. Starzec uśmiechał się, ale chwilami wyraz troski osmucał⁴ jego wyschłą twarz. Miłość do tego ślicznego stworzenia sprawiała, iż zarówno cieszył się terażniejszością, co lękał się przyszłości. Mówił niejako sam do siebie:

„Jest szczęśliwa dzisiaj, czy będzie nią zawsze?”

Bo starcy skłonni są darzyć własnymi cierpieniami przyszłość młodych. Kiedy ojciec z córką dotarli do pawilonu, z którego powiewała trójbarwna chorągiew i którą przechodzi się z Tuillerii na plac Karuzeli, warty ozwały się surowo: „Już nie wolno!”.

Dziewczyna wspięła się na palcach i ujrzała tłum strojnych kobiet po obu stronach marmurowej arkady, przez którą miał wyjść cesarz.

– Widzisz, ojcze, wyszliśmy za późno.

Strapiona minka zdradzała, jak bardzo zależało jej na tym, aby być na rewii.

– A więc, Julciu, chodźmy; nie lubisz tłoku.

– Zostańmy, papo. Stąd mogę choć widzieć cesarza; gdyby zginął w tej kampanii, nigdy bym go nie widziała.

Ojciec zadrżał, słysząc te samolubne słowa, bo córka miała

⁴ *osmucać* – dziś: *zasmucać*. [przypis edytorski]

łyzy w oczach. Spojrzał na nią, spostrzegł pod przymkniętą powieką parę łez, wyciśniętych nie tyle zawodem, ile jednym z owych pierwszych zmartwień, których tajemnicę nietrudno odgadnąć staremu ojcu. Naraz Julia zarumieniła się i wydała lekki krzyk, którego nie zrozumiał ani szyldwach, ani starzec. Na ten krzyk oficer, który biegł ku schodom, odwrócił się, zbliżył się do arkady, poznał młodą osobę zasłoniętą przez grenadierskie bermyce i natychmiast uchylił dla tej pary wydany przez siebie zakaz. Następnie nie troszcząc się o szemranie wykwintnego tłumu oblegającego arkadę, przyciągnął z lekka ku sobie uszczęśliwione dziewczę.

– Nie dziwi mnie już jej gniew ani pośpiech, skoro ty jesteś na służbie – rzekł starzec w pół drwiąco do oficera.

– Drogi panie – odparł młodzieniec – jeżeli państwo chcecie mieć dobre miejsce, nie traćmy czasu na gawędę. Cesarz nie lubi czekać, a marszałek posyła mnie, aby go uprzedzić.

To mówiąc, ujął dość poufale rękę Julii i pociągnął ją w stronę Karuzelu. Julia spostrzegła ze zdumieniem tłum cisnący się między szarymi murami pałacu a łańcuchem okalającym wielki, piaskiem wysypany dziedziniec. Kordon ustawiony, aby zabezpieczyć miejsce dla cesarza i sztabu, z trudnością bronił się naciskowi tłumu brzęczącego jak rój pszczół.

– To będzie bardzo ładnie? – spytała Julia z uśmiechem.

– Niechże pani uważa! – wykrzyknął oficer, ujmując Julię w pół i unosząc ją zręcznie, aby ją postawić tuż koło kolumny.

Gdyby nie ten energiczny gest, ciekawą jego kuzynkę

byłby potrafił biały koń w aksamitnym złoto-zielonym rzędzie. Mameluk Napoleona trzymał go za uzdę, prawie pod arkadą, o dziesięć kroków za innymi końmi czekającymi na świętę cesarza. Młody człowiek umieścił ojca i córkę koło słupa, przed tłumem i skinieniem głowy polecił ich dwom starym grenadierom. Kiedy oficer wracał do pałacu, wyraz radości i szczęścia zajął na jego twarzy miejsce lęku spowodowanego nagłym ruchem konia: Julia ścisnęła mu tajemnie rękę, aby podziękować za tę drobną usługę, czy aby rzec: „Zobaczę pana nareszcie!”. Skinęła nawet główką w odpowiedzi na pełen szacunku ukłon, jaki oficer złożył, zanim znikł szybko.

Starzec, który jak gdyby umyślnie zostawił młodych, stał poważnie za córką, ale przyglądał się jej ukradkiem, udając – aby jej nie spłoszyć – że pochłonięty jest wspaniałym widowiskiem, jakie przedstawiał w tej chwili Karuzel. Kiedy Julia zwróciła na ojca wzrok niespokojnego uczniaka, starzec odpowiedział łagodnym i wesołym uśmiechem; ale bystre jego oko biegło za oficerem aż do arkady i żaden szczegół tej krótkiej sceny nie uszedł jego baczenia.

– Co za piękny widok – szepnęła Julia, ściskając ojca za rękę.

Wspaniały, malowniczy obraz, jaki przedstawiał w tej chwili Karuzel⁵, wydarł ten okrzyk tysiącom widzów. Wszystkie twarze były olśnione. Drugi rząd publiczności, równie stłoczony jak ten, w którym znajdował się starzec z córką, zajmował równoległe do pałacu szczupłą przestrzeń wzdłuż kraty. Barwne stroje kobiet

⁵ *Karuzel* – spolszczona nazwa od: Le Place du Carrousel. [przypis edytorski]

uwydlatniały olbrzymi czworobok, jaki tworzą zabudowania Tuillerii oraz świeżo wówczas założone sztachety. Pułki starej gwardii, które miały odbyć rewie, wypełniały to obszerne pole, tworząc na wprost pałacu imponujące błękitne linie grube na dziesięć szeregów. Poza tą przestrzenią i w samym Karuzelu znajdowały się równolegle ustawione pułki piechoty i kawalerii gotujące się do defilady pod łukiem tryumfalnym, na którego szczycie widniały w owej epoce wspaniałe weneckie konie. Muzyka wojskowa, umieszczona pod galeriami Luwru, zakryta była przez pełniących służbę polskich lansjerów. Większa część wysypanego piaskiem czworoboku była pusta niby arena przygotowana dla poruszeń owych niemych ciał, których masy, rozmieszczone z całą symetrią sztuki wojennej, odbijały promienie słońca w trójganiastych zwierciadłach dziesięciu tysięcy bagnetów. Wiatr, poruszając kitki żołnierskie, kołysał nimi jak lasem gnącym się pod naporem wichru. Te stare pułki, błyszczące i nieme, uderzały tysiącnymi kontrastami barw, zrodzonymi z różnaitości mundurów, wyłogów, broni i akselbantów.

Ten olbrzymi obraz, miniatura pola bitwy przed walką, znalazł bogatą i poetyczną ramę w majestatycznych budynkach, których nieruchomość naśladowali niejako wodzowie i żołnierze. Widz mimo woli porównywał te mury ludzi z murami z kamienia. Wiosenne słońce, zalewające swym blaskiem po równi ściany wzniesione wczoraj jak stare odwieczne mury, oświecało w całej pełni niezliczone ogorzałe twarze

opowiadające o niebezpieczeństwach minionych i oczekujące poważnie niebezpieczeństw przyszłych. Jedyne pułkownicy krążyli poza frontem utworzonym przez tych bohaterskich ludzi. Dalej, za masą owych wojsk upstrzonych srebrem, błękitem, purpurą i złotem, ciekawi mogli ujrzeć trójbarwne chorągiewki sześciu niezmordowanych jeźdźców polskich, którzy podobni psom prowadzącym trzodę uganiali wciąż między wojskiem a publicznością, aby ciekawym nie dać przekroczyć szczupłego miejsca, jakie im wyznaczono przy kracie. Gdyby nie ten ruch, można by mniemać, że się jest w pałacu śpiącej królowny. Wietrzyk wiosenny, który wiał przez bermyce grenadierów, uwydatniał nieruchomość żołnierzy, jak głuchy szmer tłumu pogłębiał ich milczenie. Czasami tylko odgłos bębenka lub mimowolne potrącenie wielkiego bębna powtórzone przez echa pałacu przypominały odległy grzmot zwiastujący burzę.

Nieopisany zapal czuło się w oczekującym tłumie. Francja miała się pożegnać z Napoleonem w przededniu kampanii, której niebezpieczeństwa rozumiał najlichszy z mieszkańców. Tym razem chodziło dla cesarstwa o kwestię bytu. Ta myśl ożywiała zarówno cywilną ludność, jak armię, które cisnęły się jednako milczące na placu, gdzie władwały orły i geniusz Napoleona.

Ci żołnierze, nadzieja Francji, ci żołnierze, ostatnia kropla jej krwi, również byli przedmiotem niespokojnej ciekawości widzów. Między większością obecnych a wojskowymi odbywały się pożegnania, może na wieki; ale wszystkie serca, nawet najbardziej wrogie cesarzowi, słały do nieba modły za chwałę

ojczyzny. Ludzie najbardziej zmęczeni walką między Europą a Francją odłożyli swoje nienawiści, przechodząc pod łukiem tryumfalnym, pojmując, że w dniu niebezpieczeństwa Napoleon to cała Francja.

Zegar pałacowy wydzwonił w pół. W tej chwili szmer tłumu ucichł; cisza stała się tak głęboka, że usłyszałoby się głos dziecka. Starzec i jego córka, którzy zdawali się żyć jedynie wzrokiem, usłyszeli dźwięk ostróg oraz szcęk szabel rozlegający się pod przysionkiem pałacu.

Mały człowiek, dość otyły, ubrany w zielony mundur, w białych spodniach, w butach ze sztylpami, ukazał się nagle. Na głowie miał trójgraniasty kapelusz mający tyleż uroku, co i sam człowiek; szeroka wstęga Legii Honorowej bujała mu na piersi; niewielka szpada u boku. Człowieka tego spostrzegły wszystkie oczy naraz, ze wszystkich punktów. Natychmiast ozwały się bębny, dwie orkiestry uderzyły akord, którego wojenny ton podjęły wszystkie instrumenty od najśłodsze go fletu aż do wielkiego bębna. Na tę męską pobudkę serca zadrżały, chorągwie pochyliły się, żołnierze sprezentowali broń jednomyślnym i regularnym ruchem, który wstrząsnął wszystkie fuzje od pierwszego do ostatniego szeregu. Komenda przebiegała od szeregu do szeregu jak echo. Rozentuzjasmowany tłum wydawał okrzyki: „Niech żyje cesarz!”. Wszystko zaczęło drżeć, poruszać się, chwiać. Napoleon wsiadł na konia. Gest ten nadał życie tym milczącym masom, dał głos instrumentom, rozmach orłom i sztandarom, wzruszenie twarzom. Wyniosłe

mury starego pałacu zdawały się krzyczeć również: „Niech żyje cesarz!”. To było już coś nadludzkiego, to był czar, wizja potęgi bożej lub raczej przelotny obraz tego tak przelotnego panowania. Człowiek otoczony taką miłością, entuzjazmem, poświęceniem, życzeniami, człowiek, dla którego słońce spędziło chmury z nieba, siedział na koniu, o trzy kroki przed złocistą świtą, mając Wielkiego Marszałka po lewej ręce, a marszałka służbowego po prawej. Wśród tylu wrażeń, jakie budził, żaden rys jego twarzy nie drgnął.

– Och, tak. Pod Wagram w największym ogniu, pod Moskwą pośród trupów ON zawsze jest jednako spokojny!

Taką odpowiedź dał na liczne pytania grenadier, który znajdował się koło młodej dziewczyny. Julia utonęła na chwilę w tej twarzy, której spokój świadczył o pewności i mocy. Cesarz spostrzegł pannę de Chatillonest i pochylił się do Duroca, aby mu szepnąć coś, co wywołało uśmiech Wielkiego Marszałka. Zaczęły się manewry. Jeśli dotychczas młoda osóbką dzieliła swą uwagę między niewzruszoną twarz Napoleona a błękitne, zielone i czerwone linie wojska, w tej chwili, wśród szybkich i regularnych poruszeń starych żołnierzy, zajęła się prawie wyłącznie młodym oficerem, który uwijał się między szeregami i wracał niestrudzenie do grupy, na której czele błyszczała skromna postać Napoleona. Oficer ten, siedzący na pysznym karym koniu, wyróżniał się w pstrym tłumie błękitnym mundurem ordynansów cesarza. Hafty błyszczały w słońcu tak jasno, a smukła kitka na czaku migotała tak żywym blaskiem,

że widzowie mimo woli przyrównywali go do błękitnego ognika, do niewidzialnej duszy, której cesarz kazał ożywiać i prowadzić bataliony. Broń migotała ogniem, kiedy na znak dany jedynie jego oczami szeregi łamały się, skupiały, przewalały się niby odmet mórz lub przepływały przed nim niby długie, proste i wysokie fale, jakimi rozgniewany ocean ciska o brzegi.

Kiedy manewry się skończyły, oficer ordynansowy nadjechał pędem i zatrzymał się przed cesarzem, czekając rozkazów. W tej chwili był o dwadzieścia kroków od Julii, na wprost grupy cesarskiej, w postawie dość podobnej do tej, jaką Gerard dał generałowi Rapp w obrazie przedstawiającym bitwę pod Austerlitz. Dziewczyna mogła wówczas podziwiać swego wybrańca w całym jego marsowym blasku.

Pułkownik Wiktor d'Aiglemont, liczący ledwie trzydzieści lat, był wysoki, smukły, dobrze zbudowany, a przymioty te uwydatniały się najlepiej wówczas, kiedy powodował koniem; kształtny grzbiet zwierzęcia giał się niejako pod jego ręką. Męska i smagła twarz posiadała ów niewytlumaczony czar, jaki daje młodym ludziom doskonała regularność rysów. Czoło miał szerokie i wyniosłe. Płomienne oczy, ocienione gęstymi brwiami i okolone długimi rzęsami, rysowały się białym owalem między tymi dwiema czarnymi liniami. Nos był zgrabny jak łuk orlego dzioba. Czerwień ust lśniła pod obowiązującym czarnym wąsikiem. Szerokie i rumiane policzki barwiły się ciemniejszymi tonami, świadczącymi o niepospolitej sile. Cała twarz, nosząca piętno dzielności i odwagi, przedstawiała typ, jakiego szuka

dziś artysta, kiedy chce przedstawić bohatera cesarskiej Francji. Koń zlany potem, niecierpliwie kręcący głową, zaryty przednimi nogami w ziemię machał długim i obfitym ogonem, a posłuszeństwo jego było żywym obrazem posłuszeństwa jego pana wobec cesarza. Widząc swego ukochanego tak chciwie chwytającego spojrzenia Napoleona, Julia uczuła drgnienie zazdrości na myśl, że on jeszcze na nią nie spojrzał.

Naraz, na jedno słowo wyrzeczone przez władcę, Wiktor spina konia i puszcza się galopem; ale cień kolumny padający na piasek przeraża konia, który się płoszy, cofa, staje dęba. Julia wydaje krzyk, blednie, wszyscy patrzą na nią ciekawie, ona nie widzi nikogo; oczy jej wpiły się w zbyt ognistego konia, którego oficer karci, spiesząc z rozkazem Napoleona. Wzruszenia te tak pochłoneły Julię, że bezwiednie uczepliła się ręki ojca, zdradzając mu mimo woli swoje myśli drzeniem palców. Kiedy Wiktor omal nie runął z koniem, uczepliła się ojca jeszcze silniej, jak gdyby jej samej groził upadek. Starzec spoglądał z posepnym niepokojem na rozjaśnioną twarz córki; litość, zazdrość, nawet żal odbiły się w jego zmarszczkach. Ale kiedy niezwykle blask oczu Julii, kiedy jej krzyk oraz konwulsyjny skurcz palców zdradziły mu do reszty tajemną jej miłość, musiał ujrzeć zapewne jakąś smutną wizję przyszłości, bo twarz jego przybrała złowrogi wyraz. W tej chwili dusza Julii jak gdyby przeszła w duszę oficera. Myśl okrutniejsza od wszystkich tych, które gnębiły go dotąd, ściągnęła zboląłą twarz starca, kiedy ujrzał, jak d'Aiglemont, mijając ich, wymienił spojrzenie z Julią,

której oczy były wilgotne, a policzki zarumieniały się żywo. Pociągnął żywo córkę do ogrodu.

– Ależ ojciec – rzekła – są jeszcze na placu pułki, które będą manewrować.

– Nie, dziecko, cała armia defiluje.

– Mnie się zdaje, papo, że ty się mylisz. Pan d'Aiglemont właśnie dał rozkaz...

– Moje dziecko, jestem cierpiący i nie mogę zostać.

Julia bez trudu uwierzyła ojcu, kiedy spojrzała na jego twarz, która pod wpływem rodzicielskich niepokojów przybrała wyraz znękania.

– Bardzo cierpisz? – pytała obojętnie, tak dalece myśl jej była gdzie indziej.

– Czyż każdy dzień nie jest mi darowany? – odparł starzec.

– Znowu mnie chcesz martwić, mówiąc mi o śmierci. Byłam tak wesoła! Zaraz proszę mi wypędzić te czarne myśli.

– Ach – westchnął ojciec – zepsute dziecko. Najlepsze serca bywają bardzo okrutne. Oddać wam życie, myśleć jedynie o was, pracować na wasz dobrobyt, poświęcić waszym kaprysom istnienie, ubóstwiać was, oddać nawet krew, więc to nic? Ach, tak, wszystko przyjmujecie niedbale. Aby wciąż zdobywać wasze uśmiechy i waszą łaskawą miłość, trzeba by mieć potęgę Boga. A potem w końcu przychodzi inny! Kochanek, mąż i wydzierają nam wasze serca.

Julia spojrzała zdziwiona na ojca, który szedł wolno i patrzył na nią blado.

– Kryjcie się nawet przed nami – ciągnął – ale może i przed sobą...

– Co ty mówisz, ojcze?

– Myślę, Julio, że ty masz jakąś tajemnicę. Ty kochasz – podjął żywo starzec, widząc rumieniec córki. – Och! łudziłem się, że pozostaniesz wierna staremu ojcu aż do jego śmierci, spodziewałem się zachować cię przy sobie, szczęśliwą i świetną, podziwiać cię taką, jaką byłaś dotąd. Nie znając twego losu, mógłbym roić dla ciebie spokojną przyszłość; ale obecnie niepodobna mi wierzyć w twoje szczęście, bo ty bardziej jeszcze kochasz w nim pułkownika niż kuzyna. To dla mnie jasne.

– A czemuż nie byłoby mi wolno kochać go? – spytała z żywą ciekawością.

– Ach, Julio, nie zrozumiałybyś mnie – odparł ojciec z westchnieniem.

– Powiedz i tak, ojczulku – odrzekła figlarnie.

– A więc, dziecko, posłuchaj mnie. Młode dziewczyny tworzą sobie często szlachetne i urocze obrazy, idealne postacie, mają fantastyczne pojęcia o ludziach, o uczuciach, o świecie; stroją niewinnie kogoś w te wymarzone przez siebie doskonałości i wierzą w nie. Kochają w wybranym urojoną istotę; ale później, kiedy już nie pora się ratować, ten zwodny⁶ pozór, to pierwsze ich bożyszczce, zmienia się we wstrętny szkielet. Julio, wolałbym, abyś pokochała starca niż właśnie pułkownika. Ach, gdybym mógł ci pokazać życie na dziesięć lat naprzód, przyznałabyś

⁶ zwodny – dziś: zwodniczy. [przypis edytorski]

słuszność memu doświadczeniu. Znam Wiktora: wesołość jego jest tępa, żołdacka; on sam jest bez zdolności, a rozrzutny. To jeden z ludzi, których niebo stworzyło, aby jedli i trawili cztery razy dziennie, spali, kochali pierwszą lepszą i bili się. Nie rozumie życia. Jego dobre serce, bo on ma dobre serce, sprawi, że odda czasem sakiewkę biedakowi, koledze; ale jest gruboskórny, nie posiada owej delikatności serca, która każe nam się poświęcić szczęściu kobiety; jest nieuk, samolub... Ma dużo **ale**.

– Jednak, ojczy, musi mieć rozum i zdolności, skoro został pułkownikiem...

– Moje dziecko, Wiktor zostanie całe życie pułkownikiem. Nie spotkałem jeszcze nikogo, kto by mi się wydał godny ciebie – ciągnął starzec w podnieceniu.

Zatrzymał się chwilę, przypatrzył się córce i dodał:

– Ale, moja biedna Julciu, ty jesteś za młoda, za wątła, za delikatna, aby znosić przykrości i utrapienia małżeństwa. Wiktora psuli rodzice tak samo jak ciebie psuliśmy oboje z matką. Jakim cudem was dwoje, upartych, samowolnych, zgodziłoby się z sobą? Będiesz albo ofiarą albo tyranem. Jedno i drugie jest nieszczęściem dla kobiety. Ale ty jesteś łagodna i skromna; pierwsza się ugniesz. Przy tym ty masz – rzekł zmienionym głosem – wdzięk uczuć, którego on nie oceni, a wówczas...

Nie dokończył, łązy go dławili.

– Wiktor – dodał po pauzie – urazi wszystkie naiwne przymioty twojej młodej duszy. Znam wojskowych, moja Julciu,

żyłem wśród nich w armii. Rzadko serce tych ludzi zwycięża nawyki zrodzone z niedoli lub z przygód ich awanturniczego życia.

– Chcesz zatem, ojcze – odparła Julia w pół żartem – pogwałcić moje uczucia, wydać mnie za męż dla siebie, nie dla mnie?

– Dla siebie! – wykrzyknął ojciec zdumiony. – Dla siebie! Ależ, dziecko, niedługo już będziesz słyszała mój głos gderający na ciebie przyjaźnie. Dzieci zawsze przypisują poświęcenia rodziców ich osobistym pobudkom. Idź za Wiktora, Julio. Kiedyś gorzko będziesz opłakiwała jego nicość, nieporządek, egoizm, jego niedelikatność, gruboskórność i tysiące zgryzot, których zaznasz przez niego. Wówczas przypomnij sobie, że pod tymi drzewami proroczy głos starego ojca próżno przemawiał do ciebie!

Starzec zamilkł, widząc, że córka filuternie potrząsa głową. Doszli do bramy, przy której stał powóz. Przez tę chwilę panienka śledziła ukradkiem twarz ojca, powoli zniknął dąs z jej twarzy. Głęboki ból wyryty na tym pochylonym czole sprawił na niej wrażenie.

– Przyrzekam ci, ojcze – rzekła łagodnym i wzruszonym głosem – nie wspomnieć ci o Wiktorze, póki się nie rozproszą twoje uprzedzenia.

Starzec popatrzył na córkę zdziwiony. Łzy zakręciły mu się w oczach i spłynęły po policzkach. Nie mógł ucałować Julii wobec otaczającego tłumu, ale ucisnął czule jej rękę. Kiedy wsiadł do

powozu, smutne myśli, które nagromadziły się na jego czole, pierzchły zupełnie. Lekki smutek córki niepokoił go o wiele mniej niż niewinna radość, której tajemnica wymknęła się Julii podczas rewii.

W pierwszych dniach marca roku 1814, w niespełna rok po tej cesarskiej rewii, kolaska toczyła się z Amboise do Tours. Wyjechawszy spod zieleni pod którą kryje się urząd pocztowy we Frillière, powóz pomknął tak chyżo, że w jednej chwili przybył na most na Cize w miejscu, gdzie ta rzeka wpada do Loary. Tu zatrzymał się. Rzemień zerwał się od gwałtownego pędu, jakim na rozkaz swego pana młody pocztylion popędził cztery najsilniejsze konie. W ten sposób dzięki przypadkowi dwie osoby znajdujące się w kolasce, zbudzone nagle, miały sposobność ujrzeć jeden z najpiękniejszych widoków, jakimi czarują oko uroczę brzegi Loary. Na prawo podróżny ogarnia jednym spojrzeniem wszystkie zakręty Cize, która jak srebrny wąż wiję się wśród łąk połyskujących szmaragdem wczesnej wiosny. Na lewo – Loara w całej swej wspaniałości. Fale marszczone zimnym wiatrem porannym toczą się szeroką, majestatyczną płaszczyzną. Tu i ówdzie zielenią się wyspy wyłaniające się z wody, podobne ogniowom szmaragdowego naszyjnika. Z drugiej strony rzeki najpiękniejsze wioski Turenii roztaczają jak okiem sięgnąć swoje skarby. W oddali oko zatrzymuje się aż na wzgórzach Cher, których wierzchołki rysowały się w tej chwili błyszczącą linią na czystym lazurze. W głębi obrazu, hen, poza młodą zielonością wysp, Tours

wynurza się niby Wenecja z wód. Wieżycy starej katedry strzelają w niebo, stapiając się z fantastycznymi konturami obłoków. Za mostem, na którym powóz się zatrzymał, podróżny ujrzał przed sobą, od Loary aż do Tours, łańcuch skał rzucony jakby umyślnie przez kaprys przyrody, aby okuć tę rzekę, której fale nieustannie podmywają kamień. Widok ten zawsze budzi zdumienie podróżnych. Wioska Vouvray znajduje się tam jakby wtłoczona w gardziele i wyrwy tych skał, które tworzą łuk tuż przed mostem na Cize. Następnie od Vouvray do Tours krzesanice tego poszarpanego wzgórza zamieszkałe są przez ludność hodującą wino. Gdziekolwiek znajdują się trzypiętrowe domy wyżłobione w skale i połączone niebezpiecznymi schodami również wykutymi w kamieniu. Szczytem dachu młoda dziewczyna w czerwonej spódnicy biegnie do swego ogrodu. Dym komina wznosi się między szczepami i młodymi pędami wina. Rolnicy orzą prostopadłe pola. Staruszka, siedząc spokojnie na złomie podmytej skały, kręci swój kołowrotek pod kwitnącym migdałem, spoglądając na przejeżdżających u jej stóp podróżnych i uśmiecha się z ich przerażenia. Równie mało troszczy się o rozpadliny ziemne, co o wiszące szczątki starego muru, którego podstawę utwierdzają jedynie korzenie pnącego się bluszczu. Pod młotem bednarzy rozbrzmiewają sklepienia napowietrznych piwnic. Ziemia jest wszędzie uprawna i wszędzie żyzna tam, gdzie natura odmówiła ziemi ludzkiemu przemysłowi. Toteż nic nad całą Loarą nie da się porównać z panoramą, jaką Turenia nastrecza oczom

podróżnego. Troisty obraz, któryśmy tu ledwie zaznaczyli, budzi w duszy wrażenie na zawsze odciskające się w pamięci; a kiedy sycił się nim poeta, w marzeniach swoich często będzie wskrzeszał te romantyczne, do bajki podobne widoki.

W chwili gdy powóz wjeżdżał na most, kilka białych żagli zamajaczyło między wysepkami Loary, dając nowy wdzięk uroczemu obrazowi. Zapachy nadbrzeżnych wierzb przepajały wnikliwą wonią wilgotny powiew. Głosy ptaków spływały się w bogaty koncert; jednotonny śpiew koziarza dawał mu akcent melancholii, okrzyki zaś marynarzy przypominały o dalekim życiu. Miękkie mgły, kapryśnie czepiając się drzew, przydawały jeszcze harmonii temu pejzażowi. Była to Turenia w całej swej chwale, wiosna w całym przepychu. Ta część Francji, której wojska nieprzyjacielskie nie miały zamącić, była w tej chwili jedyną, gdzie panował spokój; można by rzec, iż urągała najazdowi.

Głowa okryta wojskową czapeczką wychyliła się z powozu, skoro się zatrzymał. Niebawem niecierpliwy wojskowy sam otworzył drzwiczki i wyskoczył, aby połajać pocztyliona. Inteligencja, z jaką Tureńczyk naprawiał zerwany rzemień, uspokoiła pułkownika d'Aiglemont, który wrócił do powozu, przeciągając się dla rozprężenia zdrtwiałych członków; ziewnął, spojrzał na krajobraz i dotknął ramienia kobiety starannie otulonej w futra.

– Julio – rzekł schrypłym głosem – obudźże się i patrz! Wspaniałe!

Julia wysunęła głowę. Miała na głowie kapturek podbity łąsacą, a futro, w które się zawinęła, tak szczelnie okryło jej kształty, że można było widzieć tylko twarz. Julia d'Aiglemont nie była już podobna do młodej dziewczyny, która tak radośnie biegła ongi na rewię. Twarz jej, zawsze delikatna, straciła rumieńce, które dawały jej niegdyś tyle blasku. Ciemne pukle, rozfryzowane od nocnej wilgoci, uwydatniały matową bladość główki, której dawna żywość zdawała się uśpiona. Oczy błyszczały wprawdzie nienaturalnym ogniem, pod powiekami sinawe plamy znaczyły się na zmęczonych licach. Powiodła obojętnym wzrokiem po brzegach Loary, po czym, nie patrząc na uroczą dolinę Cize, cofnęła się w głąb i rzekła głosem, który na powietrzu zdawał się jeszcze słabszy.

– Tak, cudowne.

Widzimy, iż na swoje nieszczęście pokonała opór ojca.

– Julio, nie chciałyś mieszkać tutaj?

– Och! Tu czy gdzie indziej... – rzekła obojętnie.

– Czyś cierpiąca? – spytał pułkownik.

– Nie, nie – odparła młoda kobieta z chwilowym ożywieniem.

Popatrzyła na męża z uśmiechem i dodała – Spać mi się chce.

W tej chwili rozległ się galop. Wiktor d'Aiglemont puścił rękę żony i obrócił głowę ku zakrętowi, jaki droga czyniła w tym miejscu. Z chwilą gdy Julia przestała czuć oko męża, wesołość, w jaką oblekła bladą twarz, znikła tak, jakby zgasło jakieś światło. Nieciekawa ani widoków, ani tego, kim był jeździec galopujący tak wściekle, wtuliła się w głąb powozu i patrzyła przed siebie

wzrokiem niezdradzającym żadnego uczucia. Miała minę tak bezmyślną, jak chłop bretoński słuchający kazania.

Młody człowiek na rasowym koniu wynurzył się nagle z kępki topoli i kwitnącej tarniny.

– To Anglik – rzekł pułkownik.

– Tak, panie generale – odparł pocztylion. – To jeden z tych, co to (gadają ludzie) chcą połknąć całą Francję.

Nieznajomy był z liczby podróżników, którzy znaleźli się na kontynencie, w chwili gdy Napoleon zatrzymał wszystkich Anglików w odwet za pogwałcenie prawa narodów popełnione przez gabinet Saint-Jamesa po zerwaniu traktatu w Amiens. Kaprys cesarza nie zostawił jeńców w miejscowościach, gdzie ich pojmano, ani w tych, które zrazu pozwolono im sobie wybrać. Tych, którzy przebywali w tej chwili w Turenii, przeniesiono tam z różnych punktów cesarstwa, gdzie pobyt ich zagrażał jakoby polityce kontynentalnej. Młody jeńiec, który w tej chwili rozpraszał poranną nudę, był ofiarą biurokracji. Od dwóch lat rozkaz wydany przez ministerstwo spraw zagranicznych wyrwał go z Montpellier, gdzie zerwanie pokoju przerwało mu kurację: był chory na piersi.

Skoro tylko młody człowiek poznał w osobie hrabiego d'Aiglemont wojskowego, starał się uniknąć jego wzroku, odwracając dość nagle głowę ku brzegom Cize.

– Wszyscy ci Anglicy są impertynenci, jakby świat do nich należał! – mruknął pułkownik. – Szczęściem Soult da im nauczkę.

Mijając kolaskę, jeniec zapuścił wzrok w jej wnętrze. Mimo że spojrzenie było przelotne, podchwycił nim melancholię, która dawała fizjonomii hrabiny nieokreślony urok. Są mężczyźni, których wzrusza sam widok cierpienia kobiety: boleść zda się im obietnicą stałości lub miłości. Julia, z oczami utkwionymi w poduszki przedniego siedzenia, nie zwróciła uwagi na konia ani na jeźdźca.

Rzemień naprawiono mocno i szybko. Hrabia wsiadł do powozu. Pocztylion starał się nadrobić czas i pomknął drogą okoloną urwiskami, w których łonie dojrzewa wino Vouvray, gdzie wznosi się tyle ładnych domów i gdzie w oddali widać ruiny sławnego opactwa Marmoutiers, schronienia świętego Marcina.

– Czego chce od nas ten przeźroczysty milordzik? – wykrzyknął pułkownik, obracając głowę, aby się upewnić, że jeździec, który od mostu jechał za powozem, jest tym samym młodym Anglikiem.

Ponieważ nieznajomy, jadąc groblą, nie naruszał żadnego z praw grzeczności, pułkownik cofnął się w głąb karety, zmierzwszy Anglika groźnym spojrzeniem. Ale mimo swej mimowolnej niechęci nie mógł nie zauważyć urody konia i wdzięku jeźdźca. Młody człowiek miał ów angielski typ, o cerze tak delikatnej, o skórze tak białej i gładkiej, że nie powstydziliby się jej delikatne ciało dziewczyny. Włosy miał blond, był wysoki i szczupły; ubrany wytwornie i schludnie, jak przystało elegantowi z wstydlivej Anglii. Można by rzec, iż na widok hrabiny zarumienił się raczej ze wstydu niż z przyjemności. Raz

jeden Julia podniosła oczy na cudzoziemca; ale zmusił ją do tego poniekąd mąż, który kazał jej podziwiać nogi rasowego konia. Oczy Julii spotkały się z oczami nieśmiałego Anglika. Od tej chwili jeździec zamiast obok kolaski jechał o parę kroków w tyle.

Hrabina zaledwie spojrzała na nieznanego. Nie dostrzegła żadnej z ludzkich i końskich zalet, jakie jej wskazywano; wtuliła się w głąb, drgnieniem brwi potwierdziwszy zdanie męża. Pułkownik zasnął. Małżonkowie dojechali do Tours, nie zamieniwszy słowa: ani razu cudowne widoki zmieniającego się wciąż krajobrazu nie ściągnęły uwagi Julii. Gdy mąż drzemał, pani d'Aiglemont spojrzała nań kilka razy. Przy ostatnim spojrzeniu wstrząs powozu rzucił na kolana młodej kobiety medalion wiszący na jej szyi na żałobnym łańcuszku: ujrzała portret ojca. Na ten widok wstrzymywane łzy popłynęły z jej oczu. Anglik ujrzał może wilgotne ślady tych łez, które błyszczały chwilę na licach hrabiny, ale rychło obeschły.

Wysłany przez cesarza z rozkazami dla marszałka Soult, mającego bronić Francji przeciw inwazji angielskiej w Béarn, pułkownik d'Aiglemont skorzystał ze swej misji, aby uchronić żonę od niebezpieczeństw grożących Paryżowi. Wiózł ją do Tours, do starej krewnej. Niebawem powóz potoczył się po bruku Tours, po moście i zatrzymał się przed starożytnym pałacem, gdzie mieszkała osoba będąca przed rewolucją hrabiną de Listomère-Landon.

Hrabina de Listomère była to jedna z owych pięknych

staruszek o bladej cerze, białych włosach i sprytnym uśmiechu. Suknie ich zawsze robią wrażenie robronu, na głowie noszą czepeczek nieznaną już mody. Te kobiety, siedemdziesięcioletnie portrety epoki Ludwika XV, mają zwykle coś pieszczotliwego, jakby jeszcze kochały. Są nie tyle pobożne, ile dewotki, a mniej dewotki, niż na to wyglądają, zawsze pachnące pudrem *à la marechale*, dobrze opowiadają, rozmawiają jeszcze lepiej i śmieją się łatwiej ze wspomnienia niż z konceptu. Nie lubią współczesności.

Kiedy stara pokojówka przyszła oznajmić **hrabinie** (miała niedługo odzyskać tytuł) odwiedziny siostrzeńca, którego nie widziała od wojny hiszpańskiej, zdjęła skwapliwie okulary, zamknęła *Galerię dawnego dworu*, ulubioną swoją książkę, po czym odzyskała dawną zwinność, aby przybyć na ganek w chwili, gdy młoda para wchodziła na schody.

Ciotka i siostrzenica zmierzyły się spojrzeniem.

– Dzień dobry, ciciu – wykrzyknął pułkownik, obejmując staruszkę i całując ją serdecznie. – Przywożę ci tę młodą osóbkę. Słowem, powierzam ci mój skarb. Moja Julcia nie jest ani zalotna, ani zazdrosna, słodka jest jak anioł... Ale mam nadzieję, że się tu nie zepsuje – wtrącił.

– Nicponiu! – odparła hrabina, odpowiadając mu szelmowskim spojrzeniem.

I pierwsza pochyliła się z wdziękiem, aby uściskać Julię, która stała zamyślona, wyraźnie bardziej zakłopotana niż ciekawa.

– Zatem poznamy się, drogie serce? – rzekła hrabina. – Nie

bój się mnie zanadto, staram się nigdy nie być stara z młodymi.

Prowincjonalnym zwyczajem, nim doszła do salonu, hrabina już zarządziła śniadanie dla swoich gości: ale Wiktor powstrzymał wymowę ciotki, oświadczając, że nie może jej poświęcić więcej czasu, niż wymaga zmiana koni pocztowych. Przeszli tedy do salonu, gdzie pułkownik zaledwie miał czas opowiedzieć ciotecznej babce polityczne i wojenne wypadki, które kazały mu prosić o schronienie dla młodej żony. W czasie tego opowiadania ciotka spoglądała kolejno na siostrzeńca mówiącego bez przerwy i na siostrzenicę, której bladość i smutek zdawały się płynąć z tej przymusowej rozłąki. Widocznie powiadała sobie:

„Ba, ba, ci młodzi się kochają”.

W tej chwili trzask z bicia rozległ się w cichym dziedzińcu, gdzie kamienie były poprzerastane kępkami trawy. Wiktor uściskał znów hrabinę i wypadł z pokoju.

– Bądź zdrowa, dziecko – rzekł, ściskając żonę, która odprowadziła go do powozu.

– Och! Wiktorze, pozwól mi odwieźć się dalej jeszcze – rzekła z pieszczotą – nie chciałabym się z tobą rozstać...

– Co za pomysł!

– A więc – rzekła Julia – bądź zdrow, skoro taka twoja wola.

Powóz znikł.

– Kochasz tedy mego poczciwego Wiktora – rzekła hrabina, przenikając siostrzenicę owym bystrym spojrzeniem, jakim stare kobiety umieją przejrzeć młode.

– Ach, pani – rzekła Julia – czyż nie trzeba bardzo kochać mężczyznę, aby wyjść za niego?

To ostatnie zdanie wyrzekła z naiwnością, która zdradzała albo serce bardzo czyste, albo głęboką tajemnicę. Otóż trudno było kobiecie, która była niegdyś przyjaciółką Duclosa i marszałka de Richelieu, nie starać się przeniknąć sekretu młodego małżeństwa. Ciotka i siostrzenica stały w tej chwili w bramie i patrzyły za znikającą kareta. Oczy Julii nie wyrażały miłości takiej, jak ją rozumiała hrabina. Zaczynała być Prowansalką i miała niegdyś żywe namiętności.

– Dałaś się tedy złapać temu hultajowi? – spytała siostrzenicy.

Julia zadrżała mimo woli, bo akcent i spojrzenie starej kokietki świadczyły, że zna charakter Wiktora lepiej może niż własna żona.

Zaniepokojona, opancerzyła się niezręcznym udaniem, ucieczką naiwnych i cierpiących serc. Pani de Listomère zadowoliliła się odpowiedziami Julii; ale pomyślała z przyjemnością, że jakiś sekret miłosny urozmaici jej samotnię. Siostrzenica robiła na niej wrażenie osoby, która musi mieć jakąś zajmującą tajemnicę.

Kiedy pani d'Aiglemont znalazła się w wielkim salonie obitym starą materią oprawną w złoczone listewki, kiedy usiadła przy dobrym ogniu, zasłonięta od szczelin w drzwiach chińskim parawanem, smutek jej nie rozproszył się. Trudno było, aby wesołość urodziła się pod tym starym obiciem, wśród tych wiekowych mebli. Mimo to młoda paryżanka czuła się dobrze w

tej samotności, w tej uroczystej ciszy. Wymieniwszy kilka słów z ciotką, do której napisała niegdyś list poślubny, siedziała w milczeniu, jak gdyby słuchała muzyki w Operze. Dopiero po dwóch godzinach klasztornej ciszy spostrzegła, jak niegrzecznie postępuje wobec ciotki, przypomniała sobie swoje zimne odpowiedzi. Staruszka uszanowała kaprys siostrzenicy z pełnym wdzięku instynktem, jaki cechuje owych ludzi starej daty. Robiła robótkę na drutach. Co prawda kilka razy wysunęła się, aby się zająć pewnym **zielonym** pokojem, gdzie miała spać młoda hrabina i dokąd służba zносиła rzeczy; ale w tej chwili wróciła na swoje miejsce w wielkim fotelu i spoglądała ukradkiem na młodą kobietę. Zawstydzona, że się poddała nieodpartej zadumie, Julia usiłowała przeprosić ciotkę, żartując z siebie samej.

– Moje drogie dziecko, wiemy, co to smutek wdowy – odparła ciotka.

Trzeba było mieć czterdzieści lat, aby zrozumieć ironię, jaką drgały wargi starej kobiety. Nazajutrz hrabina miała się znacznie lepiej, rozmawiała. Pani de Listomère nie wątpiła już, że zdoła obłaskawić młodą mężatkę, którą zrazu pomówiła o głupotę i dzikość; opowiadała jej o miejscowych przyjemnościach, o balach i o domach, gdzie mogą bywać. Wszystkie pytania margrabiny były pułapkami, które z dawnego dworskiego nawyku zastawiała siostrzenicy, aby przejrzeć jej charakter.

Julia oparła się kilka dni wszelkim naleganiom ciotki nakłaniającej ją do jakiejś rozrywki. Toteż mimo chęci pochwalenia się ładną siostrzenicą, starsza pani wyrzekła się

w końcu zamiaru wprowadzenia jej w świat. Julia umiała upozorować swą samotność i swój smutek śmiercią ojca, po którym była jeszcze w żałobie. Po tygodniu pani de Listomère podziwiała anielską łagodność, słodycz, wdzięk, wrodzoną pobłażliwość Julii; z tą chwilą zainteresowała się szczerze tajemną melancholią żrącą to młode serce. Julia była jedną z kobiet stworzonych, aby ją kochano, i wnoszących z sobą szczęście. Towarzystwo jej stało się pani de Listomère tak miłe i szacowne, że rozkochała się w siostrzenicy; byłaby chciała nigdy się z nią nie rozstawać. Miesiąc wystarczył, aby stworzyć między nimi wiekiuistą przyjaźń. Staruszka zauważyła nie bez zdziwienia zmiany w fizjonomii pani d'Aiglemont. Żywy jej koloryt gasł z wolna, a twarz robiła się matowa i blada. Tracąc dawne rumieńce, Julia stawała się mniej smutna. Czasami ciotka przywodziła młodą krewniaczkę do wybuchów wesołości lub szalonego śmiechu, niebawem spłoszonych jakąś natrętną myślą. Odgadła, że ani żal po ojcu, ani nieobecność Wiktora nie są przyczyną melancholii, która rzucała cień na życie siostrzenicy. Nastęczało się tyle podejrzeń, że trudno jej było zgadnąć prawdziwą przyczynę złego; prawdę zawsze może znajduje się przypadkiem. Wreszcie jednego dnia Julia błysnęła przed oczami zdziwionej ciotki zupełnym zapomnieniem małżeństwa, dziewczęcą pustotą, niewinnością, dzieciństwem, a zarazem całą ową delikatną, a niekiedy tak głęboką inteligencją, jaka cechuje młode kobiety we Francji. Pani de Listomère postanowiła wówczas zgłębić tajemnicę tej duszy, której zupełna naturalność

była równie trudna do przejrzenia, co nieprzenikniona obłuda. Noc zbliżała się, panie siedziały przy oknie wychodzącym na ulicę. Julia zdawała się zamyślona. Człowiek jakiś przejechał konno.

– Oto jedna z twoich ofiar – rzekła ciotka.

Pani d'Aiglemont spojrzała na ciotkę wzrokiem, w którym zdziwienie łączyło się z niepokojem.

– To młody Anglik, szlachcic, Artur Ormond, starszy syn lorda Grenville. Dzieje jego są ciekawe. Przybył do Montpellier w roku 1802 w nadziei, że klimat tych stron, gdzie go wysłali lekarze, wyleczy go z groźnej choroby piersiowej. Jak wszystkich jego ziomków, tak i jego uwięził Bonaparte z wybuchem wojny, bo ten potwór nie może żyć bez wojowania. Dla rozrywki młody Anglik zaczął studiować swoją chorobę, którą uważano za śmiertelną. Nieznacznie nabrał zamiłowania do anatomii, do medycyny, zapalił się do tych nauk; rzecz dość szczególna dla człowieka z naszej sfery, ale wszak Regent bawił się chemią! Krótko mówiąc, pan Artur zrobił nadzwyczajne postępy, nawet jak na profesorów w Montpellier; nauka pocieszyła go w niewoli, równocześnie zaś zupełnie wyzdrowiał. Utrzymują, że spędził dwa lata nic nie mówiąc, oddychał wolno, leżał w oborze, pił mleko od krowy sprowadzonej ze Szwajcarii i żył rzezuchą. Od czasu jak jest w Tours, nie był u nikogo, dumny jest jak paw, ale tyś go z pewnością podbiła, bo nie dla mnie przejeżdża tu pod oknami dwa razy dziennie, od czasu jak jesteś tutaj... Oczywiście kocha się w tobie.

Te ostatnie słowa obudziły Julię jakby czarami. Gest jej, uśmiech, zdumiała staruszkę. Obce owemu instynktownemu zadowoleniu, jakiego doznaje najsurowsza nawet kobieta na wiadomość, że kogoś unieszczęśliwiła, spojrzenie Julii stało się martwe i zimne. Twarz jej zdradzała odrazę, niemal wstręt. To nie była owa wyłączość, z jaką kochająca kobieta gardzi światem dla jednej jedynej istoty; wówczas umie śmiać się i żartować; nie, Julia wyglądała jak osoba, w której wspomnienie zbyt bliskiego jeszcze niebezpieczeństwa rodzi uczucie bólu. Ciotka, święcie przekonana, że siostrzenica jej nie kocha męża, zdumiała się, pojmując, że ona nie kocha nikogo. Zadrżała, że może znajdzie w Julii zranione serce, kobietę, której doświadczenie jednego dnia – jednej nocy – wystarczyło może, aby jej zdradzić całą nicość Wiktora.

„Jeżeli go przejrzała, wszystko przepadło – pomyślała – siostrzeniec mój pozna niebawem niedole małżeństwa”.

Postanawiała sobie tedy nawrócić Julię na monarchiczne poglądy epoki Ludwika XV: ale w kilka godzin później poznała, a raczej odgadła owo dość częste położenie, które było przyczyną melancholii hrabiny. Julia popadła nagle w zadumę i udała się do siebie wcześniej niż zwykle. Kiedy pokojówka rozebrała ją i zostawiła wtuloną w wielki, żółty, aksamitny fotel, staroświecki mebel równie poręczny dla ludzi strapionych, co dla ludzi szczęśliwych, spłakała się, westchnęła, zamyśliła się, po czym przysunęła mały stoliczek, poszukała papieru i zaczęła pisać. Godziny mijały szybko, zwierzenia, jakie Julia czyniła w tym

liście, musiały ją wiele kosztować, każde zdanie splatało się z długim marzeniem; nagle młoda kobieta zalała się łzami i przerwała. W tej chwili zegary wydzwoniły drugą. Głowa jej, ciężka jak głowa umierającej, pochyliła się na piersi. Kiedy ją podniosła, Julia ujrzała nagle ciotkę, niby figurę, która zstąpiła z dywanu pokrywającego ściany.

– Co tobie, mała? – spytała ciotka. – Czemu siedzisz tak późno w noc, a zwłaszcza czemu płaczesz tak samotnie, w twoim wieku?

Bez ceremonii siadła przy siostrzenicy, pochłaniając oczami zaczęty list.

– Pisałaś do męża?

– Alboż ja wiem, gdzie on jest? – odparła Julia.

Ciotka wzięła papier i przeczytała. Przyniosła okulary, widać przyszła tu z zamiarem. Niewinna istota pozwoliła wziąć list bez słowa protestu. Nie brak godności ani poczucie tajemnej winy odejmowały jej wszelką energię. Nie; tylko że ciotka znalazła się tam w jednym z owych krytycznych momentów, gdy dusza jest złamana, gdy wszystko jest obojętne, złe czy dobre, milczenie czy wyznanie. Podobna cnotliwej młodej dziewczynie, która odpycha kochanka, ale która wieczorem czuje się tak smutna, tak opuszczona, że go pragnie i woła serca, w które by mogła przelać swe cierpienia, Julia pozwoliła bez słowa naruszyć pieczęć, którą delikatność zamyka otwarty list, i trwała w zadumie, gdy margrabina czytała.

„Moja droga Ludwiko, czemu dopominasz się tyle razy

spełnienia niedorzecznej obietnicy dwóch naiwnych dziewcząt? Pisziesz mi, iż zapytujesz często samej siebie, czemu nie odpowiedziałam od pół roku na twoje pytania. Jeśliś nie rozumiała mego milczenia, dziś może zrozumiesz jego przyczynę, skoro poznasz tajemnice, które ci zdradzę. Byłabym je na zawsze pogrzebała w sercu, gdybyś mnie nie uprzedziła o twym bliskim zameściu. Idziesz za mąż, Ludwiko. Ta myśl przejmuje mnie dreszczem. Biedne dziecko, idź za mąż; potem, za kilka miesięcy najdotkliwszym żalem stanie ci się wspomnienie tego, czym byliśmy niegdyś, kiedy pewnego wieczora w Ecouen, znalazłszy się pod dębem na wzgórzu, spoglądałyśmy na dolinę u naszych stóp i podziwiały promienie zachodzącego słońca, spowite w jego blaski. Siadłyśmy na złomie skały i utonęłyśmy w zachwycie, którego miejsce zajęła najśłodsza melancholia. Ty pierwsza zauważyłaś, że to zachodzące słońce mówi nam o przyszłości. Byłyśmy wówczas bardzo ciekawe i bardzo niemądre! Pamiętasz nasze szaleństwa? Ścisnęłyśmy się – mówiłyśmy – jak para kochanków. Przysięgałyśmy, że pierwsza, która wyjdzie za mąż, opowie sumiennie drugiej owe tajemnice małżeństwa, owe rozkosze, które nasze dziecięce dusze wyobrażały sobie czymś tak słodkim.

Ten wieczór stanie się twoim nieszczęściem, Ludwiko. Wówczas byłaś młoda, piękna, wolna od trosk, jeżeli nie szczęśliwa; otóż, mąż uczyni cię w kilka dni tym, czym ja już jestem, brzydką, schorowaną i starą. Byłoby szaleństwem chcieć

ci opisać, jaka byłam dumna, jaka pyszna, jaka szczęśliwa, że wychodzę za pułkownika Wiktora d'Aiglemont! I jakże ci to opisywać? Już sama siebie nie pamiętam. W kilka chwil dzieciństwo moje stało się snem.

Zachowanie się moje w uroczystym dniu, którego doniosłości nie rozumiałam, nie było wolne od wyrzutu. Ojciec niejednokrotnie starał się powściągnąć mą wesołość; radość moja wydawała się nieprzyzwoita, a słowa trąciły zepsuciem właśnie dlatego, że były tak niewinne. Wyprawiałam tysiące dzieciństw z welonem ślubnym, z suknią ślubną, z kwiatami. Wieczorem, kiedy zostałam sama w pokoju, do którego mnie uroczyście wprowadzono, obmyślałam jakiegoś figła, aby zaintrygować Wiktora; czekając, aż przyjdzie, czułam bicie serca, podobne jak niegdyś, w wigilię Nowego Roku, kiedy niepostrzeżenie wsuwałam się do salonu, gdzie były podarki. Kiedy mąż wszedł, kiedy mnie szukał, stłumiony mój śmiech spod muślinów był odbłaskiem niewinnego wesela, które ożywiało igraszki naszego dzieciństwa...”

Kiedy stara dama dokończyła listu, który po takim początku musiał zawierać wiele smutnych doświadczeń, zdjęta z wolna okulary, położyła na nich list i utkwiała w siostrzenicy zielone oczy, których blasku nie osłabił jeszcze wiek.

– Moje dziecko – rzekła – mężatce nie wypada pisać w ten sposób do młodej panienki...

– I ja tak myślałam – odparła Julia – toteż wstydziłam się sama siebie, gdy ciocia czytała ten list.

– Kiedy przy stole nie smakuje jakaś potrawa, nie potrzeba jej obrzydzać nikomu, moje dziecko – ciągnęła dobrodusznie stara – zwłaszcza że od czasów Ewy małżeństwo uchodziło zawsze za rzecz tak wyborną... Ty nie masz matki? – spytała.

Hrabina zadrzała; podniosła łagodnie głowę i rzekła:

– Niejeden raz od roku żałowałam, że nie mam matki; ale źle zrobiłam, że nie słuchałam ojca, który nie życzył sobie Wiktora.

Spojrzała na ciotkę; dreszcz radości osuszył jej łzy, kiedy ujrziała wyraz dobroci na sędziwej twarzy. Wyciągnęła rękę do hrabiny, która widocznie czekała na to, a kiedy ich dłonie się uściśniły, dwie kobiety zrozumiały się zupełnie.

– Biedna sieroto! – rzekła margrabina.

To był ostatni błysk światła dla Julii. Zdawało się jej, że słyszy proroczy głos ojca.

– Jakie ty masz rozpalone ręce! Czy zawsze tak? – pytała staruszka.

– Dopiero tydzień, jak nie mam gorączki – odparła.

– Miałaś gorączkę i kryłaś się przede mną?

– Mam ją od roku – rzekła Julia z odcieniem wstydliwego lęku.

– Zatem, aniołku – podjęła ciotka – małżeństwo było dla ciebie jedynie długim cierpieniem?

Młoda kobieta nie śmiała odpowiedzieć; ale twierdzący gest zdradził jej niedole.

– Jesteś więc nieszczęśliwa?

– Och, nie, ciociu. Wiktor kocha mnie do szaleństwa, a ja go

ubóstwiam, on taki dobry!

– Tak, kochasz go, ale uciekasz przed nim, nieprawdaż?

– Tak, czasami... odwiedza mnie zbyt często...

– Czy kiedy jesteś sama, nie dręczy cię obawa, aby on nie zamącił tej samotności?

– Tak, ciociu. Ale Kocham go bardzo, upewniam.

– Czy nie winisz w duchu siebie, że nie umiesz czy nie możesz dzielić jego rozkoszy? Czy nie przychodzi ci na myśl, że miłość małżeńska jest cięższa do udźwignięcia, niżby mogła nią być miłość występna?

– O tak, tak – rzekła, płacząc. – Zgadujesz wszystko, gdy dla mnie wszystko jest zagadką. Zmysły moje są odrętwiałe, nie mam żadnej myśli w głowie, ledwie że żyję. Duszę moją dławi nieokreślony lęk, który ścina moje uczucia i pogrąża mnie w martwocie. Nie mam głosu do skargi, nie mam słów na wyrażenie swego cierpienia. Cierpię, a wstyd mi cierpieć, kiedy widzę, że Wiktor jest szczęśliwy tym, co mnie zabija.

– Dzieciństwo, głupstwo wszystko! – wykrzyknęła ciotka, której wyschła twarz ożywiła się nagle wesołym uśmiechem, odbłaskiem rozkoszy młodych lat.

– I ciocia też się śmieje! – rzekła z rozpaczą młoda kobieta.

– I ja byłam taka – odparła szybko hrabina. – A teraz, kiedy Wiktor zostawił cię samą, czyż nie stałaś się z powrotem młodą dziewczynką, spokojną, bez rozkoszy, ale i bez cierpień?

Julia otwarła szeroko zdumione oczy.

– Słowem, aniołku, ubóstwiasz Wiktora, nieprawdaż, ale

wolałabyś być jego siostrą niż żoną. Matężństwo ci nie służy.

– Ach, tak, ciociu. Ale czemu ciocia się uśmiecha?

– Masz słuszość, biedne dziecko. Nie ma w tym nic tak wesołego. Twoja przyszłość kryłaby w sobie niejedno nieszczęście, gdybym cię nie wzięła pod opiekę i gdyby moje stare doświadczenie nie odgadło bardzo niewinnej przyczyny twoich zgryzot. Siostrzeniec mój nie zasługiwał na swoje szczęście, cymbał! Za naszego ukochanego króla Ludwika XV młoda kobieta w twoim położeniu rychło ukarałaby męża, że się zachowuje jak huzar. Samolub! Żołdacy tego cesarskiego tyrana są wszyscy ciemne chamy. Biorą brutalstwo za galanterię, tak samo nie znają kobiet, jak nie umieją kochać. Myślą, że to, iż jutro idą na śmierć, zwalnia ich wobec nas od względów i delikatności. Dawniej umiano i kochać, i umierać w porę. Moje dziecko, ja ci go wychowam. Zakończę to smutne nieporozumienie, dość naturalne zresztą, które doprowadziłoby do tego, żebyście się znienawidzili wzajem, żebyście wzdychali do rozvodu, o ile byś w ogóle nie umarła, nimbyś doszła do ostatecznej rozpaczy.

Julia słuchoła ciotki ze zdumieniem. Niespodzianką były dla niej te słowa, których mądrość raczej mogła przeczuć niż zrozumieć. Przerazało ją, iż w ustach doświadczonej krewniczki odnajduje, mimo że w łagodniejszej formie, sąd, jaki ojciec wydał o Wiktorze. Może miała jasnovidzenie swej przyszłości, może uczuła brzemień nieszczęść, które ją miały przywalić, bo wybuchnęła płaczem i rzuciła się w ramiona

staruszki, mówiąc:

– Ciociu, bądź moją matką!

Ciotka nie płakała, bo Rewolucja niewiele łez zostawiła kobietom dawnej monarchii. Niegdyś miłość, a później terror oswoiły je z najgwałtowniejszymi wzruszeniami, tak iż zachowują one w próbach życia spokojną godność, przywiązanie szczerze, ale nieskłonne do wylewów, zawsze utrzymane w granicach etykiety i szlachetnej dystynkcji, których dzisiejsze obyczaje wyzbyły się bardzo niepotrzebnie.

Staruszka wzięła młodą kobietę w ramiona, pocałowała ją w czoło z tkliwością i wdziękiem, częściej u owych kobiet płynącym z przyzwyczajień i manier niż z serca, utuliła siostrzenicę, przyrzekła jej szczęśliwą przyszłość, ukołysała ją obietnicami miłości, układając ją do snu niby własną córkę, ukochaną córkę, której nadzieje i smutki obchodzą ją jak własne. Widziała samą siebie, młodą, niedoświadczoną i ładną jak jej siostrzenica. Julia usnęła szczęśliwa, że znalazła przyjaciółkę, matkę, której odtąd może wszystko powiedzieć.

Nazajutrz rano, w chwili gdy obie kobiety ścisnęły się z ową porozumiewawczą serdecznością, która świadczy o postępie uczuć, o zlaniu się dusz, usłyszały tętent konia. Równocześnie obróciły głowy i ujrzały młodego Anglika, który przejeżdżał z wolna jak zwykle. Musiał mieć jakieś wiadomości o trybie dwóch samotnych kobiet, zjawiał się bowiem zawsze w porze śniadania lub obiadu. Koń zwalniał kroku sam z siebie, Artur zaś, mijając okna jadalni, rzucał melancholijne spojrzenie,

na które Julia zazwyczaj nie zwracała uwagi. Hrabina za to, nawykła do owej prowincjonalnej ciekawości, która czepia się lada drobiazgów, aby nimi urozmaicić życie, i której z trudem zdołają się ustrzec nawet ludzie wyżsi, bawiła się tą nieśmiałą i poważną miłością, wyrażającą się tak niemo. Przywykła do owej codziennej sceny i za każdym razem oznajmiała Artura jakimś nowym żarcikiem.

Siadając do stołu, obie kobiety spojrzały równocześnie na wyspiarza. Oczy Julii i Artura spotkały się tym razem: z taką wymową uczucia, że młoda kobieta zarumieniła się. Natychmiast Anglik spiął konia i odjechał galopem.

– Ciociu – rzekła Julia – co ja mam począć? Ludzie, którzy widują tu co dzień tego Anglika, muszą myśleć, że ja...

– Oczywiście – przerwała jej ciotka.

– Czy nie byłoby tedy sposobu powiedzieć mu, aby tedy nie przejeżdżał?

– Czyżby to nie znaczyło dać mu do zrozumienia, że jest niebezpieczny? A przy tym, czy można zabronić komuś jeździć, gdzie mu się podoba? Jutro nie będziemy jadły w tym pokoju: kiedy nas tu nie zobaczy, przestanie się w tobie kochać przez okno. Oto, drogie dziecko, jak postępuje kobieta znająca życie.

Ale nieszczęście Julii miało być zupełne. Ledwie panie wstały od stołu, przybył nagle służący Wiktora. Pędził co koń wyskoczy z Bourges i przywoził hrabinie list od męża. Wiktor, który porzucił cesarza, oznajmił żonie upadek rządu, wzięcie Paryża, zapal dla Burbonów w całej Francji. Nie wiedząc, jak dostać się

do Tours, prosił, aby przybyła najspieszniej do Orleanu, gdzie miał czekać na nią z paszportami. Lokaj jego, dawny żołnierz, miał towarzyszyć Julii do Orleanu, gdyż Wiktor sądził, że droga jest jeszcze wolna.

– Nie ma chwili do stracenia – mówił służący. – Prusacy, Austriacy i Anglicy mają się połączyć w Blois albo w Orleanie.

W kilka godzin młoda kobieta była gotowa i ruszyła w starej podróźnej karecie ciotki.

– Czemu ciocia nie miałyby jechać z nami do Paryża – rzekła, ściskając ją. – Teraz, kiedy Burboni wracają, znalazłabyś tam...

– I bez tego niespodzianego powrotu pojechałabym, moje biedne dziecko. Rady moje są zbyt potrzebne i Wiktorowi, i tobie, toteż przygotuję wszystko, aby podążyć za wami.

Julia puściła się w drogę w towarzystwie panny służącej i starego żołnierza, który galopował obok karety, czuwając nad bezpieczeństwem swej pani. W nocy, na jedną stację przed Blois, Julia zaniepokojona turkotem powozu, który jechał za nią od Amboise, wychyliła się, aby zobaczyć, co ma za towarzyszków podróży. Księżyc pozwolił jej ujrzeć Artura; stał o trzy kroki z oczami wlepionymi w karekę. Spojrzenia ich spotkały się. Hrabina cofnęła się żywo w głąb, ale z uczuciem lęku, od którego serce jej zabiło. Jak większość szczerze niewinnych i nieświadomych młodych kobiet czuła się winna miłości zbudzonej mimo woli. Czuła bezwiedny lęk, może w poczuciu własnej słabości wobec tak zuchwałego ataku. Najsilniejszą bronią mężczyzny jest owa groźna możliwość zaprzętania sobą

kobiety, której wrażliwą wyobraźnię przeraża lub obraża taki pościg.

Przypomniała sobie rady ciotki i postanowiła przez całą podróż nie opuszczać karety. Ale na każdej stacji słyszała Anglika przechadzającego się koło dwóch powozów; w drodze natrętny turkot jego karety rozlegał się nieustannie w uszach Julii. Pomyślała, iż skoro raz znajdzie się przy mężu, Wiktor potrafi ją obronić od tego prześladowania.

– Ale jeśli ten młody człowiek nie kocha się we mnie?

Była to ostatnia jej refleksja. Za przybyciem do Orleanu karetę jej zatrzymali Prusacy, zatoczyli w podwórze gospody i oddali pod straż. Opór był niemożliwy. Cudzoziemcy wytłumaczyli trojgu podróżnych na migi, że nie wolno im nikogo wypuścić z karety. Hrabina spędziła tak blisko dwie godziny we łażach, uwięziona wśród żołnierzy, którzy palili, śmiali się, a niekiedy przyglądali się jej zuchwale. W końcu ujrzała, jak rozstępują się z szacunkiem, słysząc tętent koni. Niebawem grupa cudzoziemskich oficerów z austriackim generałem na czele otoczyła karetę.

– Pani – rzekł generał – racz nam wybaczyć. Zaszła pomyłka. Może pani jechać bez obawy: oto paszport, który jej oszczędzi wszelkich przykrości...

Hrabina wzięła papier cała drżąca i wyjąkała kilka słów. Obok generała w kostiumie angielskiego oficera stał Artur, któremu zapewne zawdzięczała rychłe oswobodzenie. Radosny i melancholijny zarazem, młody Anglik odwrócił głowę i ledwie

ukradkiem śmiał spojrzeć na Julię.

Dzięki paszportowi pani d'Aiglemont przybyła do Paryża bez trudności. Zastała tam męża, który, zwolniony od przysięgi danej cesarzowi, znalazł najpochlebniejsze przyjęcie u hrabiego d'Artois, mianowanego naczelnym wodzem przez brata swego, Ludwika XVIII. Wiktor zajął w przybocznej gwardii wybitne stanowisko, które dawało mu rangę generała. Ale wśród zabaw, którymi obchodzono powrót Burbonów, spadło na Julię nieszczęście, które miało wpłynąć na jej życie: straciła margrabinę de Listomère-Landon. Staruszka umarła z radości i z podagry: dostała ataku sercowego, skoro ujrzała w Tours księcia Angoulême. Tak więc, osoba, która z tytułu swego wieku miała prawo oświecić Wiktora i która doświadczonego radami mogła ocalić ten związek, umarła! Julia uczuła całą doniosłość tej straty. Znalazła się samotna wobec męża. Ale młode i nieśmiałe stworzenie wolało cierpieć niż się skarżyć. Dobroć charakteru nie pozwalała jej uchylać się od obowiązków, ani dochodzić przyczyny swych cierpień. Uniknąć ich byłoby rzeczą zbyt drażliwą: Julia lękałaby się narazić swą dziewczęcą skromność.

Słówko o kolejach pana d'Aiglemont za Restauracji.

Czyż nie spotyka się wielu ludzi, których zupełna nicość jest tajemnicą dla ich otoczenia? Stanowisko, urodzenie, urząd, ogłada, ostrożność w postępowaniu, a wreszcie urok majątku są dla nich niby tarcza, która nie pozwala krytyce docierać zbyt blisko. Ci ludzie podobni są królom, których istotnej

miary, charakteru i obyczajów nie może nikt nigdy dobrze znać ani ocenić, gdyż widzi się ich zawsze albo z nazbyt daleka albo z nazbyt bliska. Osoby takie o samowolnej wartości pytają zamiast mówić, wprawiają w ruch innych, aby uniknąć ich obserwacji. Szczęśliwie i zręcznie ciągną każdego za nitkę namiętności lub interesów; igrając w ten sposób z ludźmi, którzy ich w istocie przerastają, robią z nich marionetki i uważają ich za małych, ponieważ ściągnęli ich do siebie. Jest to naturalny tryumf myśli mizernej, ale ciągłej nad żywą ruchliwością talentu. Toteż, aby osądzić te puste głowy i zważyć ich negatywne wartości, obserwator musi posiadać więcej sprytu niż głębi, więcej cierpliwości niż polotu, więcej dyplomacji niż geniuszu. Mimo całej zręczności, z jaką ci uzurpatorowie bronią swoich słabych stron, trudno im oszukać własną żonę, matkę, dzieci lub przyjaciela domu; te osoby dochowują im prawie zawsze sekretu w rzeczy tyczącej niejako wspólnego honoru, często nawet pomagają im w omamieniu świata. Jeżeli dzięki tej milczącej zмовie wielu głupców uchodzi za ludzi rozumnych, wyrównywa to liczbę rozumnych, którzy uchodzą za głupców: tak więc społeczeństwo posiada zawsze tę samą liczbę uznanych zdolności.

Wyobraźcie sobie teraz rolę, jaką musi grać przy takim mężu kobieta z głową i z sercem! Czyż to nie będzie egzystencja pełna bólów i poświęceń, za którą nic na ziemi nie zdoła wynagrodzić tkliwej i kochającej duszy? Niech się znajdzie w tym okropnym położeniu kobieta silna, a wyjdzie z niego przez zbrodnię,

jak zrobiła Katarzyna II, zwana mimo to **Wielką**. Że jednak nie wszystkie kobiety są na tronie, padają one po największej części ofiarą nieszczęść domowych, które, mimo że nieznanne, są straszne. Te, które szukają na ziemi doraźnej pociechy, zmieniają jedynie katusze, jeśli chcą zostać wierne swoim obowiązkom, lub popełniają błędy, gdy gwałcą prawa na rzecz swoich namiętności.

Wszystkie te refleksje mieszczą się w tajemnych dziejach Julii. Póki Napoleon był przy władzy, hrabia d'Aiglemont, pułkownik jak tyłu innych, dobry oficer ordynansowy, wyborny do jakiejś ryzykownej misji, ale niezdolny do samodzielnego dowództwa, nie budził żadnej zazdrości. Uchodził za jednego z owych zuchów, których faworyzował cesarz: typ, który w wojsku nazywa się **dobrym chłopem**. Restauracja, która wróciła mu tytuł margrabiego, nie zawiodła się na nim: pośpieszył za Burbonami do Gandawy. Ta konsekwencja i wierność zadały kłam przepowiedni teścia, który utrzymywał niegdyś, że jego zięć zostanie wiecznym pułkownikiem. Za drugim powrotem pan d'Aiglemont, mianowany generał-porucznikiem i znowuż margrabią, zapłonął ambicją parostwa. Przejął się zasadami i polityką **konserwatysty**; otoczył się tajemniczością, która nie kryła nic, stał się poważny, pytający, małomówny i uchodził za człowieka głębokiego. Opancerzył się w formy grzeczności, zaopatrzył się w formułki, miał w zanadrzu owe gotowe frazesy, które wybija się w Paryżu, aby w drobnej monecie dać głupcom sens wielkich myśli lub faktów. Dzięki temu zyskał opinię człowieka smaku i wiedzy. Zaciekłszy się w przekonaniach

arystokratycznych, uchodził za niezłomny charakter. Jeżeli przypadkiem stał się na chwilę lekkomyślny i wesół jak niegdyś, wówczas błahość i nicość jego powieżeń nabierały wagi dyplomatycznych niedomówień.

„Och, on mówi tylko to, co chce powiedzieć” – myśleli bardzo zacni ludzie.

Wspomagały go równie dobrze jego zalety, co wady. Odwaga jego zyskała mu wysoką opinię wojskową, której nic nie podawało w wątpliwość, bo nigdy nie posiadał naczelnego dowództwa. Jego męska i szlachetna twarz wyrażała podniosłe myśli: fizjonomia ta była szalbierstwem jedynie dla żony. Słyszac, jak wszyscy wielbią jego mniemane talenty, margrabia nabrał sam w końcu przeświadczenia, że jest jednym z najwybitniejszych ludzi na dworze, gdzie dzięki swej powierzchowności umiał się podobać i gdzie walory jego przyjęto bez protestu.

Mimo to pan d'Aiglemont w domu był skromny. Czuł instynktownie wyższość żony mimo jej młodości. Z tego mimowolnego szacunku wynikła tajemna władza, której ciężar margrabina musiała przyjąć mimo wszystkich wysiłków, aby uchylić to brzemie. Jako doradczyni męża kierowała jego czynami i majątkiem. Ta nienaturalna sytuacja była dla niej upokorzeniem oraz źródłem wielu zgryzot, które kryła w głębi serca. Po pierwsze, subtelny instynkt kobiecy mówił jej, że o wiele piękniej jest być posłuszną człowiekowi zdolnemu, niż prowadzić głupca; że młoda żona zmuszona myśleć i działać

jak mężczyzna nie jest ani mężczyzną, ani kobietą, wyrzeka się całego wdzięku swej płci, wyrzekając się jej niedoli, a nie nabywa żadnego z przywilejów, które prawa nasze przyznały silniejszym.

Życie jej było okrutną ironią. Czyż nie musiała czcić pustego bożka, opiekować się swoim opiekunem, mizernym człowiekiem, który w odpłatę nieustannego poświęcenia rzucał jej ochłap samolubnej miłości małżeńskiej, widział w niej tylko kobietę i nie raczył, czy nie umiał – zniewaga równie dotkliwa! – zatroszczyć się o jej przyjemności ani o to, skąd pochodzi jej smutek i wyniszczenie? Jak większość mężów czujących ucisk wyższej inteligencji margrabia ratował swoją miłość własną, wnosząc z fizycznej słabości Julii o jej słabości umysłowej. Ubolewał nad nią, wzdychając zarazem nad swym losem, że go pokarał chorowitą żoną. Słowem, czynił z siebie ofiarę, gdy był katem. Margrabina, dźwigając wszystkie niedole tej smętnej egzystencji, musiała się jeszcze uśmiechać do swego niezdarnego władcy, stroić kwiatami dom żałoby i oblekać szczęściem twarz pobladłą od tajemnych mąk. Ta chlubna odpowiedzialność, to szczytne zaparcie się siebie, dały nieznacznie młodej margrabinie godność kobiecą oraz poczucie cnoty, które stały się jej tarczą przeciw niebezpieczeństwom świata. Przy tym – jeżeli mamy już do dna zgłębić to serce – owo ukryte i tajemne nieszczęście, które pognębiło jej pierwszą i naiwną miłość dziewczęcą, przejęło ją może wstrętem do miłości; może nie rozumiała ani jej potęgi, ani jej rozkoszy nieprawych, ale upajających, dla których tyle kobiet zapomina rozsądku i cnoty,

będących podstawą społeczeństwa. Wyrzekłszy się niby snu owych słodczy, owej tkliwej harmonii, którą przyrzekło jej stare doświadczenie pani de Listomère-Landon, czekała z rezygnacją końca swych udręczeń, spodziewając się umrzeć młodo.

Od powrotu z Turenii zdrowie jej podupadało z każdym dniem, życie jej mierzyło się tylko cierpieniem. Cierpienie to było zresztą wytworne, choroba niemal rozkoszna na pozór, mogąca w oczach powierzchownych ludzi uchodzić za kaprysy wykwintnisi. Lekarze kazali margrabinie leżeć na kanapie, gdzie gasła wśród kwiatów, które ją otaczały, wędnać jak one. Osłabienie nie pozwalało jej chodzić ani zażywać powietrza; wyjeżdżała jedynie zamkniętym powozem. Otoczona cudami zbytku i nowoczesnego przemysłu, podobna była raczej do rozpieszczonej królowny niż do chorej. Kilku przyjaciół, rozkochanych może w jej nieszczęściu i słabości, pewnych, że zawsze ją zastaną w domu, może zresztą spekulując na jej powrót do zdrowia, zносиło jej nowiny oraz relacje o owym tysiącu drobnych wydarzeń, które czynią paryską egzystencję tak urozmaiconą. Melancholia jej, mimo że głęboka i poważna, była tedy melancholią zbytku. Margrabina d'Aiglemont podobna była do pięknego kwiatu, którego korzeń podgryza czarny robak.

Bywała niekiedy w świecie, nie dla przyjemności, ale aby dopełnić obowiązków pozycji, do której wzdychał jej mąż. Głos jej i sztuka śpiewacza pozwalały jej zbierać oklaski, które prawie zawsze pochlebiają młodej kobiecie. Ale cóż jej było z tryumfów, które nie wiązały się ani z uczuciem, ani z

nadzieją? Mąż jej nie lubił muzyki. Zresztą czuła się nieswojo w salonach, gdzie uroda jej ściągała wiele interesownych hołdów. Położenie jej budziło okrutne współczucie, smutną ciekawość. Dotknięta była zapaleniem, dość często śmiertelnym, które kobiety zwierzają sobie na ucho, a dla którego nasz nowy słownik nie znalazł jeszcze nazwy. Mimo ciszy, w jakiej upływało jej życie, przyczyna jej cierpienia nie była tajemnicą dla nikogo. Zawsze dziewicza pomimo małżeństwa, wstydziała się każdego spojrzenia. Toteż, aby nie musieć się rumienić, udawała fałszywą wesołość, mówiła, że się ma doskonale lub uprzedzała pytania o zdrowie wstydliwymi kłamstewkami.

Jednakże w roku 1817 zaszedł wypadek, który znacznie przyczynił się do zmiany opłakanego stanu Julii. Miała córkę i postanowiła ją sama karmić. Przez dwa lata radości i niepokoje macierzyństwa uczyniły jej życie mniej nieszczęśliwym. Z konieczności żyła dalej od męża. Lekarze wróżyli jej zdrowie, ale margrabina nie wierzyła tym wątpliwym wróżbom. Jak wszyscy, dla których życie nie ma już uroku, widziała może w śmierci szczęśliwe rozwiązanie.

Z początkiem roku 1819 życie jej było okrutniejsze niż kiedykolwiek. W chwili gdy się cieszyła negatywnym szczęściem, jakie umiała zdobyć, ujrzała przepaść: mąż stopniowo odzwyczaił się od niej. Owo ostudzenie już i tak letniego i samolubnego przywiązania mogło się stać przyczyną niejednego nieszczęścia, które subtelny jej takt i przezorność pozwalały odgadnąć. Pewna, iż zawsze zachowa wpływ na męża i

że zdobyła jego szacunek na zawsze, lękała się wszakże miłostek dla człowieka tak marnego i tak szalenie próżnego. Często przyjaciele zastawali Julię w głębokiej zadumie. Najmniej domyślni pytali ją żartobliwie o jej sekret, jakby młoda kobieta mogła myśleć jedynie o błahostkach, jak gdyby troski matki rodziny nie kryły prawie zawsze głębokiej myśli! Niekiedy, bawiąc się z Helenką, Julia patrzyła na nią posępnie. Nie odpowiadając na owe dziecięce pytania tak rozkoszne dla matek, zastanawiała się nad swym obecnym i przyszłym losem. Czasem wspomnienie przywodziło jej na myśl rewię w Tuilleriach i oczy jej zachodziły łzami. Prorocze słowa ojca brzmiały jej w uszach, sumienie wyrzucało jej, że nie umiała ocenić ich mądrości. Z tej nieopatrznej samowoli wynikły wszystkie jej cierpienia, a często nie wiedziała, które z nich jest najcięższe. Nie tylko słodkie skarby jej duszy pozostały nieznanne, ale nie mogła się porozumieć z mężem nawet w najpowszedniejszych sprawach. W miarę jak zdolność kochania rozwijała się w niej silniej i czynniej, miłość dozwolona, małżeńska, zamierała pośród dotkliwych fizycznych i moralnych cierpień. Miała przy tym dla męża owo bliskie wzgardy politowanie, które z czasem niweczy wszystko. Gdyby wreszcie rozmowy z przyjaciółmi, gdyby przykłady lub jakieś skandaliki światowe nie mówiły jej, że miłość daje olbrzymie szczęście, własne rany pozwoliłyby jej odgadnąć głębokie i czyste słodyczne, jakie muszą zespalać bratnie dusze. W obrazach, jakie pamięć jej wywołała z przeszłości, szlachetna postać Artura rysowała się

z każdym dniem piękniej i czystiej. Ale znikąca szybko. Julia nie śmiała zatrzymywać się przy tym wspomnieniu. Cicha i nieśmiała miłość młodego Anglika, to było jedyne wydarzenie, które od czasu małżeństwa zostawiło jakiś miły ślad w tym posepnym i samotnym sercu. Może wszystkie zawiedzione nadzieje, wszystkie poronione pragnienia, które stopniowo osmucały⁷ duszę Julii, skupiały się naturalną grą wyobraźni na tym człowieku, którego wzięcie⁸, uczucia i charakter tyle miały podobieństwa z jej uczuciami. Ale ta myśl pojawiała się zawsze jak kaprys, jak sen. Po tym nieziszczalnym marzeniu, zawsze kończącym się westchnieniem, Julia budziła się jeszcze nieszczęśliwsza; jeszcze dotkliwiej czuła swe istotne cierpienia, skoro je uśpiła pod skrzydłami urojonego szczęścia.

Czasami żale jej stawały się zuchwałe, szalone: chciała rozkoszy za wszelką cenę. Ale częściej jeszcze stawała się pastwą odrętwienia. Słuchała, nie rozumiejąc, lub też myśli jej były tak mętne, tak nieokreślone, że nie znalazłaby słów na ich oddanie. Zraniona w swych najtajniejszych chęciach, w snach, które niegdyś snuła jako młoda dziewczynka, musiała połykać łzy. Komuż się skarżyć? Kto by ją zrozumiał? Miała przy tym ową nadzwyczajną kobiecą delikatność, ową czarującą wstydlivość uczuć, która każe zdławić daremną skargę i zrzec się wygranej, kiedy tryumf musiałby upokorzyć i zwycięzcę, i zwyciężonego.

Julia próbowała dać własne zdolności i własne przymioty panu

⁷ *osmucać* – dziś: *zasmucać*. [przypis edytorski]

⁸ *wzięcie* (daw.) – zachowanie, sposób bycia. [przypis edytorski]

Aiglemont i chlubiła się szczęściem, którego jej brakło. Cały kobiecy spryt zużywała daremnie na oszczędzanie człowieka, który tego nie odczuwał i którego utwierdzało to jedynie w despotyzmie. Chwilami była pijana nieszczęściem, bez myśli, bez hamulca; ale na szczęście prawdziwa pobożność sprowadzała ją zawsze do ostatecznej nadziei: chroniła się w przyszłe życie, a ta cudowna wiara pozwalała jej na nowo podejmować bolesny ciężar. Te straszliwe walki, te wewnętrzne rozdarcia były bez sławy, te długie smutki były nieznanne: nikt nie widział jej rozpaczliwych spojrzeń, jej gorzkich łez wylewanych w samotności.

Niebezpieczeństwa krytycznego położenia, do jakiego Julia musiała dojść nieznacznie, objawiły się jej nagle w całej grozie pewnego styczniowego wieczora roku 1820. Kiedy małżonkowie znają się doskonale i od dawna przywykli już do siebie, kiedy kobieta umie sobie wytłumaczyć najdrobniejszy gest mężczyzny i wnikać w uczucia lub sprawy, które on jej ukrywa, wówczas światło rozbłyska nagle po uprzednich refleksjach lub spostrzeżeniach wynikłych z przypadku lub czynionych zrazu bezmyślnie. Często kobieta budzi się nagle nad brzegiem lub też na dnie przepaści. Toteż Julia, szczęśliwa, że jest od kilku dni sama, zrozumiała nagle przyczynę tej samotności. Niestaly czy znudzony, wspaniałomyślny czy wiedziony współczuciem, mąż jej nie należał już do niej. W tej chwili nie myślała już o sobie, o swoich cierpieniach, o swoich ofiarach. Była tylko matką; widziała majątek, przyszłość, szczęście swojej córki, jedynej

istoty, która jej dawała trochę szczęścia; Helenki, jedyne go skarbu, który ją wiązał do życia. Teraz Julia chciała żyć, aby uchronić swoje dziecko od straszliwego jarzma, pod którym macocha mogłaby zdławić życie drogiej istoty. To nowe widmo złowrogiej przyszłości pogrzyżyło ją w owej pałacej zadumie, której płomień pożera całe lata. Odtąd między nią a mężem wyrosły całe światy myśli, których ciężar miała dźwigać tylko ona sama. Dotąd, pewna miłości Wiktora, o ile on był zdolny kochać, poświęcała się dla szczęścia, którego nie podzielała; dziś, nie mając już tej świadomości, że łązy jej tworzą szczęście męża, sama na świecie, miała jedynie wybór nieszczęścia. W chwili tego zniechęcenia, które w ciszy i pustce nocy odprężyło wszystkie jej siły, w chwili gdy wstając z kanapy od wygasłego prawie ognia, miała przy blasku lampy spojrzeć suchym okiem na córkę, wrócił pan d'Aiglemont w doskonałym humorze. Julia ukazała mu z zachwytem śpiącą Helenkę, ale on przyjął entuzjazm żony zdawkową uwagą:

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.